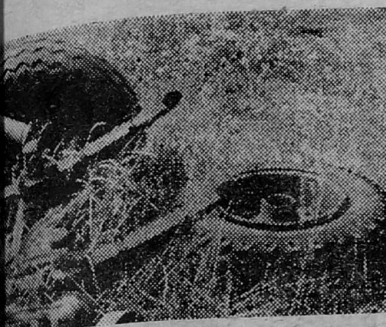


POKUSY
Andrzeja Koziary
POKUSY
pod redakcją
POKUSY
organ samoistny
POKUSY



5
dziennik
wynalaz-
ków i po-
budek



11
umrzeć
na ząb



12
regiony
nurtu
chłopskie-
go
13
moja
starość
przybli-
żona

KONTAKTY

ŁOMŻYŃSKI TYGODNIK SPOŁECZNY • PISMO PZPR

13
KONTAKTY
21 IX 80
Cena 4 zł



Fot. Gabor Lőrinczy

EDMUND ŻUREK
**ostatnia
wojna
domowa**

Dopiero w czasie trzeciej włożyły zdobyłem zaufanie. Pierwszego dnia przyjmowali mnie mieszkańcy Siwek, wsi żytnio-ziemniaczanej, z nieufnością; podczas każdej rozmowy odczuwałem chłód, dystans i pewne zakłopotanie: co zrobić z takim natrętem, który chodzi od domu do domu, jak ksiądz po kołędzie, tylko rozmawia, czasami no- tuje; co zrobić z takim, co pyta o przeszłość, o dzisiaj i jutro wioski; o sąsiadów („Lepszy sąsiad za miedzą niż brat w sąsiedniej wsi”), o sółtysa i o samego pana naczelnika.

CIĄG DALSZY NA STR. 8-9

**różnić
się
pięknie**

z dr. Wojciechem
Lamentowiczem
rozmawia
Lech Gizelbach

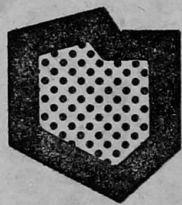
LECH GIZELBACH: — Miał Pan ehys- ba i osobistą satysfakcję słysząc z try- buni VI Plenum KC PZPR: „Wychodzą- my z założenia i powinniśmy to uznać za wytyczną naszej pracy, że demokra- cja nie jest gestem władzy wobec spo- łeczeństwa, lecz wielką i rosnącą po- trzebą socjalizmu”. Mówił Pan o tym od dawna w różnych artykułach i wystą- pieniach, podkreślając, że do najważ- niejszych celów politycznych, stojących przed naszym krajem w latach osiem- dziesiątych, należy demokracja politycz- na, sprawiedliwość społeczna oraz efek- tywność gospodarowania. Czy rzeczywi- ście efektywność gospodarowania jest aż tak zależna od postępów demokracji ży- cia społecznego?

WOJCIECH LAMENTOWICZ: — Wyrażałem pogląd (i nadal go bro- nię), że nie ma innej drogi do efek- tywności gospodarowania, jak tylko przez rozwój demokracji — a więc w stosunkach politycznych — a więc w zarządzaniu gospodarką — i przez rozwój sprawiedliwości w rozdziale wszelkich szans rozwoju człowieka.

Ten pogląd zyskuje — szczególnie teraz — pełne potwierdzenie. Żąda- nia spontanicznego ruchu strajko- wego oscylowały nie tylko wokół spraw materialnych, dotyczących po- ziomu życia, cen i płac. Równocześ- nie zabrzmiły, niezwykle silnie, ża- dania dotyczące demokracji i spra- wiedliwości. Jeżeli ludzie w maso- wym ruchu żądają właśnie takich wartości, to znaczy, że odczuwają ich niedosyt. Nie jest zaspokojona potrzeba sprawiedliwości i potrzeba demokracji. Teraz powstały bardziej sprzyjające warunki do spełnienia tych oczekiwań. Wartości jednak nie bronią się same. Demokracja i spra- wiedliwość wymagają uczestnictwa. Mogą one bronić się wówczas, gdy ktoś aktywnie za nimi obstaje. U- rzeczywistnienie tych wartości za- leży od tego, co będziemy robić my wszyscy jako obywatele, jako pro- ducenci i konsumenci, wreszcie jako ojcowie i matki. Jestem przekonany, że właściwa struktura władzy może stworzyć tylko sprzyjające warunki. Natomiast ich wykorzystanie zależy wyłącznie od ludzi. Lato ostrego konfliktu pokazało jedno- znacznie, jak ludzie — organizując się i w sposób jednoznaczny czegoś żądając — osiągnęli to.

L.G.: — Ale o jaką demokrację cho- dzi? Wszak pojęcie to wieloznaczne. Na czym ma ona polegać w naszych wa- runkach?

CIĄG DALSZY NA STR. 6-7



TRWAJĄ WOJEWÓDZKIE narady aktywu partyjnego. W gdańskie i katowickiej uczestniczył i sekretarz KC PZPR, Stanisław Kania. Przytaczamy niektóre stwierdzenia z jego wystąpienia:

O charakterze strajków. Konflikty strajkowe miały przede wszystkim charakter robotniczego protestu. Nie były skierowane przeciwko socjalizmowi, a przeciwko jego wypaczeniom. Doszliśmy więc do wniosku, iż nie może być innej drogi rozwiązywania konfliktu niż droga działania politycznego. Wydaje się, że ta ocena i wybór metod sprawdziły się. Choć wciąż jeszcze trwają niepokoje, to zgasy już strajki w masowym wymiarze.

Co się musi zmienić. Przychodzi nam działać w trudniejszej sytuacji politycznej i ekonomicznej. Musimy wyciągnąć z tego wnioski. Muszą się zmienić metody kierowania i zarządzania, metody sprawowania kierowniczej roli partii. Trzeba zastanowić się, co należy zmienić w metodach pracy organów centralnych, ale też nie gubić tych zjawisk, które miały charakter lokalny. Osobiście przyłączam się też do głosu tych towarzyszy, którzy postulują zwolnienie nadzwyczajnego zjazdu partii. Jego obrady muszą być jednak dobrze przygotowane.

O związkach zawodowych. Stoimy na gruncie jedności ruchu zawodowego, uważamy, że jedność ta jest wielką zdobyczą robotników. Wyraziliśmy jednak zgodę na utworzenie nowych związków, gdyż za tym opowiadała się część załóg. Nie można było tego lekceważyć. Inicjatorzy tego postulatu wyraźnie odcieśli się także od antysocjalistycznych haseł.

Odzyskać zaufanie. Znalezione rozwiązanie problemów jest możliwe jedynie przy udziale całej partii. Cała partia musi skupić swoje siły na odzyskaniu zaufania społeczeństwa. Nie zabraknie nam cierpliwości, a nawet pokory by przywracać zaufanie robotników do partii, ale tam, gdzie występują działania przeciwne interesom socjalistycznego państwa i narodu musimy wykazać pełną stanowczość.

RADA MINISTRÓW podjęła de-



GŁOSY Z NARADY aktywu wojewódzkiego PZPR w Łomży: **KAZIMIERZ PIOTROWSKI** — sekretarz KW: — Nie ma mniej ważnych robotniczych wniosków. Wszystkie trzeba traktować niesłuchanie poważnie i realizować; **JERZY ZIEN-TARA** — wojewoda łomżyński: — Nasze zakłady produkcyjne plan sierpnia wykonały tylko w 59 proc. Nie wykonało też planu budownictwa. A więc my również mamy swój wkład w powstawaniu napięć rynkowych; **KRYSTYNA JOJCZYK** — II sekretarz KZ PZPR w ZPPB: — Autorytet partii w Zambrowskich Zakładach Przemysłu Bawełnianego nie ucierpiał. Odczuwamy zaufanie. Załoga zwracała się do sekretarzy o zorganizowanie spotkań z dyrekcją; **KRZYSZTOF MISZTAJ** — PZT „Telkom” Zambrow: — Obok uzasadnionych postulatów mieliśmy i takie, żeby nie uzależniać premii od wyników pracy, wyrównać stawki. Autorzy tych projektów nawet nie deklarowali zwiększenia wydajności; **ZOFIA SUROWSKA** — sekretarz POP w łomżyńskim oddziale WPHW: — Nie zgadzam się, że nie ma uszczerbku partyjnego autorytetu. Musimy walczyć o jego odzyskanie. O naszą partię. Musimy zmienić styl pracy, metody działania i lepiej trafić

cyzje o wprowadzeniu (od września br. do czerwca roku przyszłego) podwyżek płac dla pracowników wszystkich zakładów gospodarki uspołecznionej, instytucji i urzędów. Od nowego roku o 400 złotych zostaną podniesione płace najniższe (do 2400 złotych), emerytury (najniższe do 2100 złotych) i renty staroportfelu oraz stopniowo zasiłki rodzinne. Przyjęto propozycję rozszerzenia uprawnień władz terenowych, w gestii których ma znaleźć się w zasadzie cała problematyka rolnictwa, gospodarki komunalnej i mieszkaniowej, urządzeń socjalnych i kulturalnych, oświaty i ochrony zdrowia.

ZGODNIE Z ZAPOWIEDZIĄ premiera Józefa Piłkowskiego wszystkie soboty w 1981 roku mają być dniami wolnymi od pracy.

PO POPRAWCE konstytucyjnej z 1976 roku prezes Najwyższej Izby Kontroli w randzie ministra wchodził w skład rządu, którego działalność miał w zasadzie kontrolować. Obecnie postanowiono na powrót podporządkować NIK Sejmowi.

NA TERENIE KRAJU w ubiegłym tygodniu trwały jeszcze strajki w zakładach pracy między innymi Górnego Śląska, Zagłębia Siarkowego, Mielca, Tarnowa, Bielska Białej, Białegostoku, Elku i Plocka.

KOMISJA RZĄDOWA podpisała porozumienie z Międzyzakładowym Komitetem Robotniczym z tymczasową siedzibą w Hucie Katowice. Wspólne ustalenia przewidują gwarancje dla działania niezależnych samorządnych związków zawodowych. W porozumieniu zawartym z Międzyzakładowym Komitetem Strajkowym w Jastrzębiu komisja rządowa przyjęła wszystkie 21 punktów porozumienia z Gdańska, a ponadto szereg postulatów górniczych załóg Górnego Śląska.

RADA PANSTWA podjęła uchwałę umożliwiająca powstającym obecnie związkom zawodowym dokonywanie od 15 września rejestracji w Sądzie Wojewódzkim w Warszawie.

Z WYPOWIEDZI wicepremiera Henryka Kisiele: Dane jakimi dysponujemy w tej chwili, świadczą o tym, że produkcja przemysłowa będzie zagrożona o jeden punkt. W cyfrach absolutnych jest to kwota 30 miliardów złotych. Zboże mamy już prawie zdjęte z pól. Jest go więcej niż w roku ubiegłym o ponad 2 miliony ton, jednak trzeba liczyć się z tym, że w stosunku do planu zabraknie nam 1,5 miliona ton. Plony okopowych będą — jak się szacuje — niższe niż w roku ubiegłym: ziemniaków o 8—9 mln ton, a buraków 2—3 mln ton.

NA XXIII PLENUM NK ZSL stwierdzono, że demokracja życia

socjalnego i gospodarczego wymaga przede wszystkim realnie działającego mechanizmu odpowiedzialności, informowania społeczeństwa i kontroli społecznej. Postanowiono przesunąć termin VIII Kongresu ZSL udzielając Prezydium NK pełnomocnictwa w ustaleniu nowej daty.

SREDNIO O 5 ZŁOTYCH za kilogram podwyższone zostały ceny skupu trzody chlewnej.

Z INICJATYWY I sekretarza KC PZPR przewidziano na koniec września br. wizyta w Polsce prezydenta Francji została w drodze obopólnego uzgodnienia odłożona.

„POLITYKA” — „Nastroje i temperatura” Zygmunta Szeligi: Sejm przemówił pełnym głosem, poddając surowej ocenie i krytyce wszystkie aspekty życia politycznego, społecznego i gospodarczego kraju. [...] Wiele mówiono o nienormalnej dotychczas sytuacji, w której Sejm został praktycznie zepchnięty na margines naszego życia publicznego. [...] Posłowie zastanawiali się także nad własną współodpowiedzialnością za dopuszczenie do takich ograniczeń pozycji i roli Sejmu. W tym kontekście padło słowo: bierność.

O NACZELNYM Sądzie Administracyjnym, który rozpoczął działalność od 1 września powiedział jego prezes prof. Sylwester Zawadzki: Można się spotkać z poglądem, że rola NSA jest poważnie ograniczona, gdyż będzie się on zajmował jedynie kontrolą legalności podjętych przez administrację decyzji, a nie celowością ich wydania, a więc bez wnikania w merytoryczną stronę i ocenę trafności wydanych decyzji. Pogląd ten studzi nadzieje tych, którzy zbyt wiele chcieliby oczekiwać od nowo powołanego sądu, jest on jednak nietrafny, bowiem pomniejsza wagę kontroli legalności decyzji administracyjnych.

W „PERSPEKTYWACH” Lech Wieluński stwierdza: Postulaty płacowo-socjalne, choć z pewnością niełatwe do realizacji dla państwa, nie wydają się być nie do rozwiązania. Warto tu pamiętać, że średnie zarobki pracowników kultury były prawie o blisko 900 złotych niższe niż średnie zarobki w kraju, zaś środowiska bibliotekarskiego o przeszło 1500 złotych, przy czym pracownicy kultury to w ogromnym procencie ludzie po wyższych studiach, z wysokimi kwalifikacjami. Trudno oczekiwać cudów w tej sprawie, ale z pewnością nie można dopuścić do pogłębiania się dysproporcji w zarobkach pomiędzy ludźmi kultury a innymi środowiskami zawodowymi.

były się strajki. W tej chwili jest jeszcze za wcześnie na głębszą ocenę tych wydarzeń. Dlatego przedstawiamy obecnie tylko krótką chronologię protestów załóg.

6 września na kilka godzin przerwał pracę Transbud. W dwa dni później — największe nasilenie przerw w pracy: strajkowało 15 zakładów, między innymi „Morena”, O/STW i Zakład Mleczarski w Kolnie, PTHW w Łomży, ŁZPB „Narew”. 9 września przerwano pracę w KDP Łomża. Następnego dnia zastrajkowali między innymi pracownicy PKS z Zambrowa. Najdłużej nie pracowano w Wojewódzkim Zakładzie Energetyki Ciepłej, bo aż od 3 do 8 września i w O/STW Kolno (od 8 do 11). W 5 zakładach, gdzie odbywały się strajki, nie powołano komitetów strajkowych, lecz komisje robotnicze lub komitety przedstawicielskie. Tak było w kolneńskiej „Morenie”, w zambrowskiej ZPOW, SKR w Szczuczynie, w grajewskim „Bielopolu”. Komitety strajkowe działały w 10 zakładach (w ŁZPB „Narew”, Fabryce Mebli, Transbudzie, PTHW, O/STW Kolno).

W niektórych przedsiębiorstwach zapowiedziano strajki jeśli postulaty załogi nie zostaną spełnione (Fabryka Mebli, WUT Kolno i „Powogaz”).

Postulaty dotyczyły głównie spraw socjalnych, plac, zaopatrzenia sklepów i kiosków przyzakładowych, funkcjonowania rad zakładowych, niekiedy domagano się także zmian personalnych na kierowniczych stanowiskach (WPIU, Oddział STW w Kolnie, „Powogaz” i Spółdzielnia Pracy w Szepietowie). Z tego ostatniego postulatu prawie wszędzie się wycofano.

punkt widzenia

Witold Chojnowski, mistrz zmienny w Fabryce Płyt Włókowych w Grajewie: — Sądę, że okres okiwnia na spełnienie naszych postulatów byłby znacznie krótszy, gdyby wszyscy z dyrekcji przejęli się tak pełniem swoich powinności, jak dyrektor Kowalski. Nie jest dziś popularne chwaleenie dyrektorów. Łatwiej ich krytykować. Ale w przypadku naszego zakładu widziałem jak na dłoni, ile może zrobić kierownictwo dla dobra załogi.

Złoczyli wielu z nas wygórowane żądania niektórych osób z zakładu. Co dziwnejsze, najbardziej buńczuczne miny mieli najwyższymi zarabiający i najgłośniejsi „stawiali się” nie ci, co najpoważniej po temacie mieli powody, wręcz przeciwnie — oni to wykazali największą dojrzałość. Oczekiwali raczej wprowadzenia zdrowych zasad regulujących stosunki międzyludzkie w pracy niż zasypania załogi złotówkami. Dyrekcja ma opinię słownej i wiarygodności spośród nas jest pewna, że obecnie także dotrzyma słowa we wszystkich zobowiązaniach. Nasze zaufanie również ją do tego zobowiązuje.

Jan Kowalski, dyrektor naczelny Zakładu Płyt Włókowych w Grajewie: — Unikneliśmy przerw w pracy wychodząc naprzeciwko oczekiwaniom załogi. Dość wcześniej wiedzieliśmy, że będzie regulacja płac i ile w przybliżeniu może wypaść na jednego zatrudnionego. Chcieliśmy o tym załogę powiadomić i wyprzedzić żądania, ale nie mogliśmy dopuścić do przekazywania błędnych informacji. Wczoraj np. dyrekcja odbyła trzy spotkania. Zapotrzebowanie na rozmowę z kierownictwem ekonomicznym i partyjnym było i jest ogromne. Nikt nie stawiał zarzutów pod adresem któregoś z dyrektorów czy sekretarzy partyjnych. Żądano konkretnych odpowiedzi — ile tych złotych za godzinę będzie więcej. Sprawa nie jest prosta, bo na zapłatę składają się nie tylko stawki godzinowe. Sporo osób pojęło to od razu, lecz znalazło się też wielu takich, co chcieli spełnienia ich ekonomicznych postulatów bez żadnych dyskusji. A my sami oczekujemy konkretnych wytycznych płacowych. Dziś jest w naszych informacjach sporo ogólników, ale gdy otrzymamy polecenie — podzielić dokonamy na pewno nie bez wiedzy wszystkich zainteresowanych.

Spotkaliśmy się z każdą grupą pracowników. Od trzech tygodni każdego dnia dyskutujemy nad wszystkimi poruszonymi sprawami. Spotykamy się zawsze po robocie, o 14.00, mimo to frekwencja jest szalona: od 300 do 400 osób.

Oczywiście, najbardziej wszystkich interesowały sprawy zakładu. Krytykowali nas za niedoinformowanie załogi, domagali się częstszych spotkań z dyrekcją i Komitetem Zakładowym PZPR, zgłaszali postulaty pod adresem związków zawodowych: chcą tam widzieć ludzi przez siebie wybranych i należycie reprezentujących ich interesy. Wiele załatwionych spraw mamy już za sobą. Do niedawna jeszcze nie mogliśmy otrzymać działek rekreacyjnych i terenu wypoczynkowego nad jeziorem. Teraz udało się przyspieszyć ich uzyskanie.

Dzięki odbytym rozmowom i tym gorącym, publicznym dyskusjom w zakładzie — dowiedziałem się bardzo wiele o problemach ludzi, które do tej pory nie docierały do mnie.

Na jak długo wystarczy zapasu do pracy w nowym stylu? Zachęty kierownictwu nie brakuje, bo ma zaufanie załogi, czego dowodem jest brak wycieczek osobistych. Natomiast fakt, że załoga postanowiła załatwiać własne sprawy z naszym udziałem, daje satysfakcję i zachęca do dalszego wysiłku.

Wysłałiśmy do Zjednoczenia dwa nawiązanie postulatów. Wczoraj, po dalszych spotkaniach, dołączyliśmy następne. Krótko mówiąc, dzięki temu, że wcześniej autentycznie przejęliśmy się sprawami załogi, dziś pracujemy rytmicznie i chyba z coraz większym zadowoleniem.

Nazywają ich sportową rodziną. Irena i Tadeusz Wasilewscy przekazali swoją wielką pasję synom: Zygfriedowi, Waldemarowi i Ireneuszowi. Podobnie jak ich rodzice, działali w łomżyńskim środowisku sportowym. Sport nadal pozostaje treścią ich życia.

Proponuję zwołanie jeszcze w bieżącym roku konsylium diabelskiego pod przewodnictwem Narwańskiego, w poszerzonym składzie tj. z wicediablami Turośliwskim i Piskim, poświęconego omówieniu stanu infrastruktury tzw. tras typowych, przeznaczonych dla ruchu krajoznawczo-turystycznego. W ubiegłym roku prowadziłem obóz wędrowny typowym szlakiem kurołowskim: Wincenta — Nowogród — Włocławek. Obserwacje, jakie poczyniłem podczas wędrowki, nie podlegają podziałowi na szereg i zwałają na przemilenie szeregu niedociągnięć, jakie wystąpiły w pracy niektórych diabłów. [...] No, we wsi Czerwone nikt nie potrafił wskazać nam typowych chat kurołowskich, a niektórzy poddawali błyskawicę przynależności tej wsi w wątpliwość przynależności tej wsi do Kurpiów. Średniowieczne grodzisko w tej miejscowości przynależało do pastwiska i posłużyło nam wyłącznie jako miejsce wypoczynku przed dalszą wędrowką. Na trasie brak jest oznakowania, a sporadyczne drogowskazy na ogół zanikają faktycznie odległości. W żadnym schronisku nie mieliśmy możliwości skorzystania z ciepłej wody do mycia czy kąpieli. Jeżeli schroniska były sanitarnie były zawsze zapełnione. [...] W schronisku w Dobrym Lesie i Rakowie przygotowywaliśmy posiłki w pokojach sygnalnych, gdyż kucharki obsługujące kolonie stale traktowały nas jako niekonieczne.

RYSZARD SKŁODOWSKI
Pieńki Zaki

„W odpowiedzi na artykuł tygodnika „Kontakty” (nr 8/80) »Kłasy zaglądają na podwórka« Urząd Miasta i Gminy w Zambrowie informuje redakcję, że cement dla rolnika wsi Cieciorki Ob. Leśniewskiego Stanisława został przydzielony w potrzebnej ilości z przydziału III kw. 80 r.”

ZYGMUNT BIAŁY
Zastępca Naczelnika Miasta i Gminy Zambrow

„Czekalam niecierpliwie na pierwszy numer »Kontaktów«, z takim samym niecierpliwością oczekuję następnych numerów. Może nie są one najurodzajowsze, może mają wady, ale są po prostu — nasze, łomżyńskie. Szkoda tylko tylu straconych lat — »Kontakty« powinny urodzić się dużo lat wcześniej. Ziemia Łomżyńska i jej ludzie zasługują od dawna na tak udane dziecko. Z wielkim trudem — bo jakże mało publikacji o naszej Ziemi — zbieram wszystko, co dotyczy się Łomży i jej okolic. Miłość do tej Ziemi wszczepiła mi moja matka, z dziadka, pradziada wiśniarka i choć urodziła mnie w Wielkopolsce, serce włożyła mi łomżyńskie. Moja mama od blisko roku jest mieszkanką województwa — myślę, że żaden katolik nie wyrwałby jej korzeni z tej ziemi. No, a ja jako jej nieodrodna córka — myślę i czuję to samo.

Bolało mnie, że tak mało pisze się o naszej Ziemi, że nie mamy swojej gazety. Niejednokrotnie mówiłyśmy o tym z matką. Pierwszy numer »Kontaktów« poddałyśmy głębokiej analizie — ocena wypadła na 5 dla „noworodka”.

Najbliższa i najpierw przeze mnie czytana jest rubryka »Spółka«. To dobrze, że »Kontakty« mają taki ostry wzrok i cięty język. Ludziom Ziemi Łomżyńskiej potrzeba ostrych szturchnięć, pogłaskać też nas od czasu do czasu trzeba (pracuję jako kierownik złobka zakładowego, stąd też może tak dużo określić ze światła dzieci).

KRYSTYNA BRUDNICKA
Grądy Woniczo

— Sklep odziedziczyliśmy też po ojcu. — Zygfried krząta się w poszukiwaniu szklanek. Może kawy? Ale uprzedzam: u nas pije się tylko inkę.

Przez chwilę słychać pobrzękiwanie szkła, a za uchylonych drzwi dochodzi gwar kilku głosów. Nad kontuarem pochylone głowy, ręce pracownicy przebiegające towar.

— Przypadł nam ten sklep dosyć nieoczekiwanie. Szkoda było tylu lat pracy ojca. Z drugiej strony jednak, w mojej sytuacji, trzeba było w końcu pomyśleć o dzieciach, zastanowić się nad tym, co by tu uratować ze zdrowia. Wciąż jednak mam jeszcze ochotę mówić i dyskutować o sporcie, mimo że zjadł mi on połowę życia. Odszedłem w ubiegłym roku świadomie i z wielu przyczyn, ale nie jest to definitywne zerwanie. Dresy są nadal moim

cze zaczęli tworzyć kluby i drużyny sportowe. W latach pięćdziesiątych Łomża miała zupełnie nieziłą pozycję w lekkiej atletyce. Pięć, sześć osób jechało na zawody do Białegostoku i wygrywało mistrzostwa województwa. Zawodnicy byli bardziej uniwersalni. Niezłe spisywali się w kilku konkurencjach. Teraz to się prawie nie zdarza. Ani szkoły, ani kluby nie przygotowują dobrze swoich podopiecznych. Karygodnie zaniedbywane są ćwiczenia ogólnorozwojowe. Walka o punkty zepsuła wszystko. Skończyło się rozkochanie młodzieży w sporcie. Demoralizacja zaczyna się już na szczeblu gminy. A sport powinien być przede wszystkim przyjemnością. Mam dwóch synów i nie pozwolę nigdy zrobić z nich koni wysięgowych. Teraz wszyscy czekają tylko na wyniki. Zaraz, natychmiast.

woli jednak wydawać fundusz socjalny na wycieczki za miasto.

— Fakt, że dyrektor zatrudnił na etacie jakiegoś szkoleniowca, nie świadczy jeszcze o rzeczywistym zainteresowaniu sprawą. Ma to po prostu z głowy.

— Dyrektorów rozlicza się jedynie z produkcji, nigdy za wkład w rozwój miasta. Bez dobrej bazy nie ma sportu. A finansowanie jest tu zupełnie dorywcze. Organizując jakąś imprezę, do końca nie wiemy, czy dostaniemy na nią pieniądze, czy też nie. W Warszawie również nie są hojni. Nadal traktują nas jako Polskę B, a o własnych siłach nie wyrwimy się z tego marazmu. Narzekanie też nie nie pomoże. O brudach trzeba było mówić wtedy, kiedy powstawały. Zresztą, co by nie powiedzieć, wszystko rozbija się o bazę materialną. Walczyli o nią



trener ma być wygodny

codziennym strojem. Nie wiem, jak mi się zawodowo potoczy życie. Powiadają sobie często, że gdy przekroczysz czterdziestkę, nie ma już czasu na myślenie o sporcie, ale... Kiedy pracowałem w szkole, takie refleksje nachodziły mnie rzadziej. Tam człowiek odnawia się z młodzieżą, która dla nauczyciela ma ciągle ten sam wiek. Podkusiło mnie jednak, żeby robić coś więcej, i stał pracą w Federacji. Zbyt wiele administracyjnych kłód, ciągle uderzanie w próżnię, pozostawili mi do dziś smak gorzkości. Kilka lat temu redaktor „Sztandaru Młodych” robił ze mną wywiad. Materiał ukazał się pod tytułem „Odbicie od dna”. Teraz, pisząc o łomżyńskim sporcie, należałoby zacząć od słów „Uczymy się pływać”. Pierwsze lata po reformie administracyjnej dawały nadzieję, że coś tu nareszcie ruszy się z miejsca, ale później... — Zygfried milknie na chwilę, zajętą zaparzeniem kawy.

— Co, Zyg, opowiedziałeś już całą epopeję rodzinną? — żartuje Ireneusz, zagrzebany w zalegającym półki, stosie damskich pantofli.

— To i pewnie wyjaśnię, które świerczki na stadionie sadziła nasza mama?

Zygfried mruczy karcąco, ale za-replikować nie zdąży. Ireneusz znika za drzwiami z parą pantofli w ręce.

— Serio mówiąc, to przedwojenny stadion, który stoi do dziś, tyle że zaniedbany i zbyt często pusty, jak na owe czasy, był kapitalny. Bardzo dobra trybuna, zaplecze, natryski. Jedynie sześć osób pracowało przy jego utrzymaniu i konserwacji. Po wojnie dawni działacze

kilka przegranych meczów i mówi się trenerowi „do widzenia”. Brat „w nagrodę” też dostał wypowiedzenie. Nawet nie wiedział, kiedy. Waldek, pozwól na chwilę.

— Bardzo mnie zaskoczyło to zwolnienie. Po prostu nic o nim nie wiedziałem. Byłem na urlopie w Anglii, wracam i... ogólne zaskoczenie. Ja, że nie mam pracy; oni — że wrócili. Sądze, że byłem po prostu trochę niewygodny. Stawiałem w klubie żądania, a kto się chce wysilać i wychylać, jeśli ma ciepłą posadkę? Lepiej wziąć innego. Zwolnienie było bezpodstawne, ale zaraz postarano się o „normalne” wypowiedzenie. Kluby rządzą się swoimi prawami. Nie ma nikogo, kto by bronił interesów trenera. Półki jest dobrze, zawsze znajdzie się ktoś, kto wypnie pierś po odznaczeniu. Gdy jest źle, działacza społecznego przecież nie zwolnią. A co będzie robił trener — nikogo nie obchodzi. Nie zawsze nawet liczą się sukcesy. Najważniejsze, żeby trener był wygodny. Wokół klubów kręci się mnóstwo menażerów. Który mocniej uderzy, tego racja. Trener nie ma wiele do gadania. On przecież nie potrafi „zadzielać”, „naciśnąć”, „uruchomić kanału”.

— Byłoby zupełnie inaczej, gdyby sport był traktowany jako jedna z form szeroko pojętej kultury. Kibice w Łomży mogą oglądać tylko mecze piłki nożnej. Inne odbywają się w „konspiracji”. Po prostu nie ma warunków.

— Wydaje się, że dobrze zaczyna się dziać w Grajewie. Sport ma tam niezłego mecenasa w Fabryce Płyt Wiórowych. Większość dyrektorów

starzy działacze. Teraz o życiu sportowym decydują posunięcia administracyjne. W pomieszczeniach, które wywalczyli tamci, mieszczą się biura, ale nie klubowe. Nowa generacja społeczników służy do potwierdzania planów, czyli do podnoszenia rąk. Co tu się oszukiwać: sportu w Łomży nie ma i nie będzie.

Zygfried podnosi się z krzesła: — Pójdę, zastąpię Ireneusza — jakby waha się na chwilę. — To wszystko, w czym teraz siedzę, jest tylko chwilową przystankiem. Muszę wrócić do sportu. Poczekam jeszcze, aż coś się zmieni na dobre.

— Ireneusz na pewno powie, że sport to dla niego tylko relaks i rozrywka, a nie rezygnacja z kariery. Kiedyś uprawiał żeglarsko i wioślarstwo, później siedział w administracji. Teraz robi za „dziękuję”, a nawet tego nie słyszy. Ale tak to już jest. Do sportu trafiają ludzie, którzy nie sprawdzili się nigdzie. Tacy doskonale potrafią sprzedawać czyjąś pracę. I pomyśleć, że bardzo często właśnie oni rozliczają za wyniki, tworzą programy działania; że najwięcej do powiedzenia może mieć np. dyrektor zakładu pogrzebowego, nie trener. Ale tamten, chociaż nie zna się na sporcie, jest przecież członkiem zarządu — Waldemar zaperza się. Jeszcze nie może przeboleć wielu spraw. Tak zresztą, jak i jego bracia. W tym roku wyjeżdża na dwuletni kontrakt do Meksyku. Nowi ludzie, zupełnie inne problemy. A Łomża?

FOT. GABOR LORINCZY DANALEK

co u państwa słychać?

spaliłabym się dla uśmiechu

Z Hanką Bielicką rozmawia Danuta Sobolewska

DANUTA SOBOLEWSKA: — W Łomży wszyscy wiedzą, że pani Hanka jest ich rodaczką.

HANKA BIELICKA: — Większość ludzi w Polsce sądzi, że jestem warszawianką, bo z walkiem i parasolką dają sobie radę ze wszystkimi problemami życia. Ale jest to prawda tylko artystyczna. W rzeczywistości, w środku jestem małą Kurpianką, z wierzchu — starą warszawianką.

D.S.: — Jak często odwiedza Pani Łomżę?

H.B.: — Byłabym nieuczciwa, gdybym powiedziała, że utrzymuję z nią stałe kontakty. Nie ma już większości moich bliskich, znajomych. Wiem natomiast o wszystkim, co się tam dzieje. Gdy tylko mogłam, jeździłam do Łomży z koncertami. Najdziwniejszy jest fakt, że ci, którzy teraz czują się łomżyńskimi, nigdy przedtem nimi nie byli; więcej: mnie też traktują już jako swoją rodaczkę. Dzieci przychodziły z kwiatami, mówiły mi „ciociu”. Szalenie to przyjemne.

D.S.: — Ale w Łomży nie była Pani już dawno, mimo przejścia na emeryturę, a w związku z tym — wydawałoby się — uzyskania więcej czasu dla siebie.

H.B.: — Ależ, proszę pani! Od kiedy poszłam na emeryturę, w ogóle nie mam czasu. Wszyscy uważają tak, jak Pani, i korzystają z tego bez skrępowania. Ile razy jestem w Warszawie, zawsze przychodzi i prosi, żeby ratować „Podwieczorek przy mikrofonie”. Ktoś zachoruje, kogoś nie ma. A poza tym ja jeszcze gadam, a młodzi teraz tylko spiewają.

D.S.: — Przygotowała Pani ostatnio nowy program?

H.B.: — Tak, zaczynam z nim jeździć po kraju. Myślę, że jest to mój ostatni, pożegnalny koncert. Ale narobili teraz tyle województw, że zanim objadę wszystkie, upłynie jeszcze sporo czasu. Mam także koncerty w Australii.

D.S.: — Szalenie aktywne życie, jak na emerytkę!

H.B.: — Obecnie emerytura to jedynie wysługa lat. Moje koleżanki skorzystały z niej przed pięćdziesiątką. I to jest słuszne, że nie musi się pracować do ciężkiej starości.

D.S.: — Artyści na Zachodzie zazdroszą naszym tej opieki państwa.

H.B.: — Tak. Tam aktorowi powodzi się dopóty, dopóki ma stałe engagement. Jeżeli go nie ma, kłopot biedę. Codziennie chodzi na rozmaite pokazy, przesłuchania, w nadziei na jakieś, choćby dorywcze, zajęcie. Inna sprawa, że to bardzo dobrze wpływa na szlifowanie warsztatu aktorskiego. Praca nad sobą to nie tylko sprawa ambicji, lecz przetrwania. Gdy oglądałam występy na Broadway'u oniemiałam z zachwyty — każdy tancerz to brylant. Tam nie można sobie popuścić. Gra jest twarda.

D.S.: — A u nas?

H.B.: — Z artystami podobnie jak z budowlańcami: każdy robi jak chce i potrafi. Patrząc generalnie — budynek stoi, ale tych braków, niedociągnięć, szarych, trochę za wiele.

D.S.: — Jak Pani to robi, że pozostaje ciągle taka sama, a publiczność ma wciąż nową?

H.B.: — Mój komizm polega przede wszystkim na dynamizmie. Wpadnę jak ta bomba wodorowa, nagadam, nakrzyczę, namacham, i wypadam. Póki będę to miała, póty zostanę na scenie.

D.S.: — A teksty nie są ważne?

H.B.: — Trochę się liczą. Inaczej nie puszczałabym nowych. Najlepiej jednak byłoby, gdybym sama umiała pisać monologi. O dobre teksty teraz bardzo trudno, a sama potrafię tylko nauczyć się i wyklepać. Coś dołożyć, uzupełnić, jakiś ozdobnik wymyśleć, to i owszem, ale żeby tak od początku do końca — mowy nie ma. Podobnie z moim gotowaniem: upitrasie nie potrafię nic, ale doprawiam zupełnie niezłe. W rodzinie zawsze śmiali się ze mnie: „Z gotowania Hanusia najlepiej umie otwierać sardynki”.

D.S.: — Są tacy, którym ich wady wychodzą na dobre.

H.B.: — Ja się chyba do nich zaliczam. Całe życie chorowałam na gardło. Wiele razy musiałam przerwać swoją karierę artystyczną. A przecież ten mój okropny głos w niemałym stopniu na niej zawazył. Mam wrażenie, że jest on bardziej znany od mojej twarzy.

D.S.: — Była Pani zapewne „cudownym dzieckiem”?

H.B.: — Czy ja wiem? Moja kariera artystyczna zapowiadała się



Fot. GABOR LÖRINCZ

raczej fatalnie. W szkole musiałam grać na fortepianie, a wolałabym śpiewać i występować na scenie. Marzyłam o rolach książniczek i królewien, a kazali mi grać czarownicę. Kiedy skończyłam szkołę aktorską, marzyłam o rolach subtelnych, szlachetnych, a grałam Dulskie i inne straszne baby. Były przecież Szafarska, Krzyżewska, piękne, młodziutkie, szczupłe, a ja zawsze ta moczna, śmieszna.

D.S.: Była Pani jednak aktorką dramatyczną. Co zdecydowało, że przeszła Pani na estradę?

H.B.: — Po prostu wciągnęła mnie. Przyczyniła się do tego i sama publiczność, która chciała widzieć mnie, a nie postać z dramatu. Kiedy po przedstawieniu mówiłam: „No to całuję was serdecznie i do widzenia”, słyszałam: „Ooo, żeby taka była cały czas”.

D.S.: — Rozesmiana, rozkrzyżowana. Fontanna słów.

H.B.: — To szybko mówienie jest zarazem przyjaciелеm i wrogiem; przyjacielem, bo wszystko wydaje się takie błyskotliwe, żywiołowe, naturalne, a wrogiem, bo gdy się sypnie, to już się z tego nie wykotam.

D.S.: — No i trzeba odpowiednio więcej wyuczyć się na pamięć.

H.B.: — Właśnie. To nie tylko dla mnie większa praca, ale i dla autorów tekstów. Zawsze narzekali: „Normalna aktorka mówiłaby ten tekst dziesięć minut, a ty wystrzelisz w trzy, jak ten piorun”. Nic na to nie poradzę. Mam tzw. nerwowość akceleratora. Im bardziej jestem zdenerwowana, tym szybciej mówię. Na premierach tak strzelałam, że ledwo ludzie zaczęli słuchać, ja już kończyłam. Ale po tym głosie i po tym sposobie mówienia rozpoznają mnie wszyscy. Niedawno, w czasie wieczornego spaceru, moje pieski zauważyły w bramie podpiętych facetów i strasznie się rozszczękały. Zaczęłam je lajać: „Ciapka, przestań! Uspokój się! Po kim wy takie jesteście!” A ten jeden gość mówi: „My by powiedzieli, pani Bielicka, po kim córeczki mają, tylko się boję”.

D.S.: — Tak długie pozostawanie Pani na scenie jest nie tyle sprawą głosu, takiego czy innego tekstu, lecz także tego, co Pani sobą reprezentuje: optymizmu, zaradności życiowej i pogody ducha.

H.B.: — Ludziom bardzo tego brak. Szukają skomplikowanych recept na swoje kłopoty, a one często są bardzo proste. Kiedy taksówkarz pyta mnie, co zrobić, żeby nie narzekać, to mu odpowiadam: „Jedź pan tyle, żeby wątroba nie puchła, i jedź pan dalej”. Podczas jednego ze spotkań ze studentami zapytał mnie młody człowiek: „Jak to jest, że sprawia Pani wrażenie osoby, która ma jeszcze na wszystko ochotę, a nam już wielu rzeczy się nie chce?” Zbyłam od jakims żartem, bo nie potrafiłam od razu odpowie-

dzieć. Teraz też byłoby mi trudno Zresztą ja sama siebie dobrze znam. Nie wiem, jaka jestem estradzie, i dlatego nie mogę być inna. Gdy widzę czasami siebie w telewizji, jestem strasznie zła. Bilabym tę głupia, rozkrzyżowaną. Patrzeć nie mogę. Temperament jest jednak ode mnie mocniejszy. Gdy widzę przed sobą publiczność trochę niemrawą i znużoną, to szlifuję się, byle wywołać jej śmiech; chcę, by ludzie zapomnieli, że są poważni, zakłopotani.

D.S.: — Twierdzi Pani, że jest kwestia temperamentu. Inni nazywają to „kochaniem publiczności”.

H.B.: — Maurice Chevalier przerwie swego występu powiedział: „Moi drodzy państwo, zdajcie wam tylko jedną tajemnicę wodową: nie ma wielkiego estradowca, który by nie kochał publiczności”. Tacy byli również Joseph Beker, Mistinguette... Nie chciałbym sugerować, że jestem im równa, ale mam na pewno identyczny stosunek do publiczności.

D.S.: — A jaka jest publiczność?

H.B.: — Na moje występy przychodzi w większości ludzie około trzydziestki. Przeważnie z ciętymi włosami: jak wyglądała ta aktorka, którą od dzieciństwa znałam z „Podwieczorków przy mikrofonie”. Bili ze zniżką rozprowadzono w fabryce, popołudnie wolne, na taki występ można przyjść z dziećmi. Więc przychodzą, siedzą, patrzą na mnie. Taka telewizyjna publiczność. Dopiero gdy trochę porozmawiam, poartuję, zaczynają się rozluźniać, wciągać. I nawet kiedy jest chłodna publiczność, po godzinie staje się najwspanialsza na świecie.

D.S.: — Obok osobistej satysfakcji z pracy liczy się również prestiż społecznego zawodu. Teatr bardzo nobilituje artystę. Nie żałuje Pani, że nie została w teatrze?

H.B.: — Nie, nie! Niczego nie żałuję. Już się podsumowałam. Jestem może dość coś ludzom od siebie, obojętne w jakim dziale sztuki. Uważam, że trudniej dać rozrywkę niż wzruszenie. Szczególnie w naszej epoce pośpiechu, osamotnienia, izolacji, utraty dawnych wierzeń i ideałów. Teatr dramatyczny w naszym kraju jest podniesiony do n-tej potęgi. Estradę natomiast uważa się za rzecz łatwą. Tymczasem estradowca nie nie podpira: ani dekoracja, ani partner. Jest sam, i jeżeli nie potrafi zainteresować sobą, zabawić lub wzruszyć, to kłopot. Aktorzy teatralni są zauważani, nagradzani. Sama dostałam Złoty Krzyż Zasługi za rolę Dulskiej. A za trzydziestkę pracy estradowej — dopiero niedawno jakąś nagrodę. Akor teatr dawno mówi: „Grażem Moliera, Szekspira”. Czy grał halabardziste, czy Otella — nieistotne. Każdy aktor jest ważny w zespole teatralnym, na estradzie albo się jest, albo nie.

Aby być dobrym majstrem, to najpierw trzeba mieć do tego wrodzony talent, pomysłowość i wrodzoną wytrwałość w postawieniu obranego zawodu. Cierpliwość w toku wykonywania danego zawodu. I wytrwałość nerwów na stopniu fizycznym. I wytrwałość zrywania się na stopniu psychicznym. I charakter gospodarski, aby robotę wykonać rzetelnie i oszczędnie. I zapamiętywanie, i fantazje majstersko, aby robotę wykonać gładko.

Aleksander Brzostowski, 1966

URZĘDACH I REDAKTORACH

Pisałem swego czasu o tych wynalazkach do Białegostoku, oni przelali do Łomży, a stąd przelali i powiedzieli: „Dobra ma- ma, ale nie wiadomo, czy egzamin by zdała. My tu naszym in- inżynierom i konie!” I jeszcze drugi raz przelali do kopackich, dwa wo- wozy i radełko — potrójne — coby przelali do jakiegoś inżyniera w Warszawie. I zdjęcie do urzędu, aby zauważyli, że podobne do lu- ludzi. Mam dużo modeli, rysunków i pomysłów, ale wszystko leży bez- bezczynnie. Jak gdzie napisze, to al- albo nie odpisze, albo przyjadzie, po- fotografuję i póty ich widzę. Jed- jedni się śmieją ze mnie, inni wygra- grają śmieć, żeby wydać modele i plany. Musiałem uciekać z domu i bez milicji uśmierzyłem, choć za- za- kazywali tego pod śmiercią. Tra- tragiczne warunki! Ja mam próby na grube rzeczy, ale drogo kosztuje model, a ja jestem słaby — stary — biedny, a dużo dla idei się pra- pracuję, a tak wspierają, jak takie- takiego Kausa we Francji, co mu wpad- do do głowy, i to wziął z wzoru, że para wodna by poruszała tłoki i maszyna by chodziła. Ale będąc biednym poszedł do Kardynała o o- o- wspomógł, a ten go uwieźlił w lu- lu- tem 1641 r., że on zwarował, a Dżordani Bruno spalony na stosie od papieża w 1600 r., a Galilei Galileusz wyklęty w 1623 r. I ze- ze- mmo tak robio, oż żebyście wiedzieli. Jeden chłop mi gadał, dwadzieścia sześć kilometrów od Borkowa, że u niego w olszynie depresja i na tej wodzie grubo białego tłuszcza, że jak buty obelgno, to nie można obmyć, taki tłusty. Wiem od geologów, mia- mia- łem stępczość, że jak taki biały tłuszcza, to tam jest nafta. I tam jest taki strumyk, co czerwona woda płynie, a w wojne, Prusak powie- powiedział, że jest żelazo, a wy nie wie- wie- dacie. Dalej za Wizo chłop mi gadał, że sto procent ruda tam koło nich jest, warto zbadać póki jest ciepło, bo ja chory, zimna się boję. Raz byli geolodzy od Krakowa, ale aku- aku- ratnie szosa była tak zajęta, że od Radziłowa dalej nie mogli prze- prze- jechać, a na wiosnę już nie wró- wró- cili, sam ja objechał, aż za Brono- Brono- wem. I pisałem do „Chłopskiej Dro- Dro- gi”, to mi odpowiedzieli: „Nie opła- opła- ci nam się dochodzić, są takie, co chodzą, to może pomału i tam doj- doj- dą”. A jak nie dojdą? Lekcewa- Lekcewa- żono, a to może być naprawdę cén- cén- ne bogactwo. Pod Suwałkami też nie wierzyli, aż się przekonali.

U władzy to przeważnie miałem zły los. Interesowali się, chwa- chwa- lili, tylko może czasem nie pisałem tego, co potrzeba. Każde mini- mini- sterstwo, każdy urząd ma inne zainteresowanie i inne kompeten- kompeten- cie. Szesćdziesiątego szóstego roku byłem w „Trybunie Ludu”. Inżynier, technik i redaktor, pisa- pisa- li, żeby pomóc mi. Wtedy nie miałem dużo tych grubych rzeczy, tylko te dwa wozy. Mówili, moje wozy ni- ni- ma porównania ile lepsze niż robi- robi- ta rządowa fabryka w Opolu. Te- Te- raz sił nie mam, a czasy dla wy- wy- nalazców lepsze, i biura specjalne, i redakcje. W maju to robili taki zlot wynalazców: — Czy co umiesz, czy już co masz, i pomagacie wię- wię- ciej niż pomagacie. Kto ma turbiny nowego systemu, wodne czy wietrz- wietrz- ne. Mnie przysłało ministerstwo, iż dobre rzeczy moje. Koło samocho- samocho- dowe śniegowe pod górę lodowało i na jeden meter i więcej śniegu zadmy, a ony pudo! Popatrzyli i odeszli: „Za krótka zima w Polsce i koniec!” A tego roku zaraz dłu- dłu- ga była. Strasznie reagują i wspie- wspie- rają na sto dwa. Jedne nie byli od tego, nie mieli kompetencji, dru-

gie przyjeżdżali, ale nie po to, co trzeba. Pytali wprost: „A jaki to sekret tej maszyny?” Ja mówię — sekret partyzancki. Do wynalazcy przyjeżdża i się o sekret pyta! I w kajety patrzy, że „Zapiski prze- prze- różnej treści” i „Dziennik wy- wy- nalazków i pobudek”. Tylko one ob- ob- chodzili, że to niby tajemna kro- kro- nika. A potem co naplugawali w gazecie. To był ten Redliński od Białegostoku, sam rodem z Groma- Groma- dzyna tu zza Kolna. Później nasy- nasy- lał drugiego, Rybińskiego. Don No- No- bile mówi do mnie, to odpowie- odpowie- diałem: „Il ne faut jamais dire sans comprendre”. Może panu cho- cho- dzi o Perpetum Nobile? Już ucieka i w gazecie nadjabli sam, że to ja tak mówiłem, słowa poprzekręca. On ma — mówi — markę ptaka. Takiego, co mu skrzydła nie urosły. Tak z ubliżenia mi powiedział.

O JĘZYKACH

Francuskiego nie znam, ale kil- kil- ka słów, co mówiłem, to na końcu takiego wiersza było: „Jechał czek na koniu i myślał wio — galop! Pod gałęzie podjechał niskie, po- po- myślał chwilę, a koń jak nie pój- pój- dzie z kopyta, a on zawisł na ga- ga- gałęziach, aż go ludzie odwieśli”. „Jak nie rozumiesz to nie gadaj”. Po prusku też trochę umię, i pisać, bo to ortografia nieludna. Tylko po rusku dobra ortografia — jak się pisze, tak się czyta, jaka litera w słowie, taka w tekście. Po pol- pol- sku już nie, te sz, szcz, rz, kilka liter, a jedna się wymawia. Po pru- pru- sku błędnie nie robię, a po rusku to i głupi by nie zrobił, a po pol- pol- sku jak się czek wprawi, to też nie. Po francusku to tak głupio, że jak napisze ładnie Jesus Christ, to czytać trzeba Zezy Kri, i często tak napisze siedem literów, a wy- wy- czyta trzy, i to inne jakieś. Pa- Pa- skudna mowa, paskudna piosenka i ortografia. Ruskie pioseneczki ślicz- ślicz- ne, ale bułgarskie najpiękniejsze.

O NAUCE I DUSZY

Po wojnie za majstra chciałem się uczyć, a po drugiej za fotogra- fotogra- fistę, bo dobry majster czy archi- archi- tekt musi znać fotografię. Się wy- wy- uczylem dużo rzeczy sam, ale foto- foto- grafii nikt na świecie sam się nie wyuczy. To czysto chemiczna, na- na- ukowa robota. Ale ja prędzej od innych się ucze, bom więcej do- do- myślny. Mam wiele różnych książ- książ- ków, i psychologja, i teologia, fi- fi- lozofja, architektura. Dobre na- na- zwyczajnie, tylko jedna licha była, com podług niej dom budował. Mo- Mo- że jakimś książce nie wierzył, tyl- tyl- ko sam rozumem koncepcował, to by mi się trzymał tynek tej cha- cha- łupy. Mam tylko dwa oddziały, a resztę wszystko sam się dowiedziałem z książek, od majstrów, ale najwię- najwię- ciej samo z głowy mi przyszło. Na wynalazcę nie można się wyuczyć. Każdy wyuczony inżynier coś wy- wy- myśla, no, dwie, trzy rzeczy, ale siedemdziesiąt? Różne rzeczy, jak ja, i wojenne, i rolnicze. Filozof i psycholog, technik i wizjoner, wy- wy- nalazca. Te przewidzenia, to nie przychodzą tak w dzień, jak czek nawet i myśli, ale wieczorem, tak o szarówce, albo w nocy się przy- przy- śni. Kiedyś siedziałem tu w izbie i nagle wiatr powiał mocno, okno otworzyło i stłukło, bo nie chciało się trzymać w wiatru na tym sa- sa- mym miejscu, to mi się przysnił ten przyrząd, co jak go się wstawi w okno, to nie pójdzie dalej jak go uregulujesz. Jeszcze to potrójne radełko żem wydumał. Jak były w Kolnie dożynki, to milicjant tu pilnował, bo ludzie gromadnie do mojej chałupy walili, że radełko ich interesowało, a nie dożynki. Albo te wozy, co się same zwracają na miejsce, tak te kółka pomyślałem, że wóz się nigdy nie wywróci z tym się — czy nawozem.

Mówio, że dusza człowieka jest jak ten duch. Zeby ja jo — tako miał, to bym chuchnął i ona już by wyszła. Ale jak się ma duszę z jakiego lepszego materiału? To wielko ma się moc i siłę do myśle- myśle- nia, tworzenia, przewidzenia, ale jest strasznie niebezpieczne, jak tak ci twój duch pomaga w dumaniu. To bardzo męczy. Jak ten, co or- or- gany wynalazł, co w Oliwie w ka-

tredze są, takie niepowtarzalne zro- zro- bił, i tak go sfaktygowała ta jego dusza, że zmarł. Ja raz też jużem myślał, że po mnie, taki słaby le- le- żałem, bo ta dusza, jak się wzbur- wzbur- rzy, to wychodzi z człowieka, na powierzchnię wyjdzie, wszędzie so- so- bie chodzi. Człowiek zrazu moc ma okrutno, a potem to osłabion wiel- wiel- ce. To jest normalnie. Rozdwojenie jaźni. Ja to wiem z psychologii me- me- chanicznej. Jak cię taki duch opę- opę- ta, to jest coś nadzwyczajnego, jak obcy, to bardzo dobrze, on poma- poma- ga, to bezpieczniej, ale jak swój, to niedobrze, niezdrowo. Psycholo- gja bardzo ciekawa, a po drugie czek się jakiś taki urodził, że jest inny. Mój rówieśnik z Petersburga rodem przyjechał po rewolucji Le- Le- nina do Borkowa i my się skolego- kolego- walim. Ja mu gadam o duchach, strachach, szatanach, a on mi mó- mó- wi: „Oleś, ty możesz wielkie rze- rze- czy, tylko ty o tym nie wiesz, ty mi nie pleć, że masz dwa oddziały, ja mam pięć gimnazjalnych, stary ksiądz mnie psychologji uczył, i ty- ty- le wiem co ty (że niby ja taki do- do- uczony), ty możesz i zahipnotyzo- zahipnotyzo- wać”. Akuratnie jeden taki chodź i zapisywał kto akcyznego do rządu za tabakę nie zapłacił. To wiele karali, a tu u mnie ze sto pięć- pięć- dziesiąt było, a za Pilsudskiego sto pięćdziesiąt złotych to ho-ho, był pie- pie- niądz. I tak jechali mi z ojcem wozem na pole i wiedzieli jak ak- ak- cyzne przelazili z tamtej pola na naszą stronę i zaraz przyszło mi do pamięci, co mnie ten z Petersburga — Edzik Serafiński — powie- powie- diał, i zaraz użyłem tego, tej sil- sil- nej woli. „Widzisz, patrzysz, a nie zobaczysz”. Pojechali my po konop- konop- iach, wracamy, a tu we wsi re- re- wach: „Panna Boska was uchroni- uchroni- ła, tam znaleźli, tam ukarali, a tu chodzili i nie widzieli”. Silnie cie- cie- kawa psychologja, bo człowiek we- we- dług losu żyje, no to bez psycho- psycho- logji nie może żyć, a gdyby duszy nie miał, to by i nauki psychologji nie było.

A to też ze snu, podbitka kafla- kafla- wa podwieszana, mały modelik. Tak w stodółach w Ameryce majo. A ten cyrkiel... Dopytywali się o nie- nie- go. Nastawisz ile grube ma być, np. sześćdziesiąt stopni i już, bez żadnych sznurków, bez żadnych szablonów, kąt naznaczony. A te radełko nadzwyczajne, jak konie odpoczywają, to można im zasadić żłobek, jak chce przygotować do orania, to ustawia głębokość, a ko- ko- ła uniesie do góry, a jak się zbli- zbli- ży do drogi, to wtenczas przełoży coby zawrócić, i wtenczas zawróci lekko. I ma siodło, i gdzie bicz i lejce zakładać, i czapkę se może powiesić, jak mu gorąco. Sie na gospodarce robi, to się wie, co roln- roln- ikowi potrzeba. Powiedział mi z Grabowa majster, że tak mądre uregulowane, że w żadnym war- war- szacie tego nie widział. Trzeba wielko gromadzić ułamków wypisać, coby takie wyliczenie zestawić. Ile kajetów musiałem na brudno zapi- zapi- sać.

O ŻYCIU

A ten plan życia ludzkiego? Moja droga skośna, bo życie miało być krótkie. Jak poszło długie, to się z tak o sobo niby połączył, co jej dobrze jest i mnie będzie trochę dobrze, ale już krócej. Tylko brat jest dobry, ale on tu nie mieszka. Kiedyś to mnie namawiał: „Oleś, ożeń się, bo cię zamęczy!” Wtedy mi mówił, jak moja szanowna żo- żo- na sobie poszła. To ona mi te dy- dy- chawice napędziła Chory byłem, prosiłem: „Idź, powiedz soltysowi, żeby zapodał, żem chory w gorącz- gorącz- ce”, bo te prusaki, jak kto nie przy- przy- szedł okopy kopać, wszystkich are- are- sztowali. Ale wstydziła się: „Wszys- wszys- tkie chodzą, tylko ty jeden nie- nie- doradza niedorobiony”, a ja już wcześniej osiem miesięcy po bie- bie- brzańskich bagnach się męczyłem. Nic baba litości nie miała. I dziec- dziec- ka nie patrzyła. Córka zmarła, jak jej dwa lata, pięć miesięcy i pięć dni było. Takie dziecko! Rok, to już sama siadała i wstawała, a zaraz i mówiła. Takiego mądrego dziecka nikt nie widział, ale przez niedobro matkę zmarła. Zrugalem ją, a po- po- tem jej siostra mnie naubiła i żonę zabrała. Znalazła sobie sie- sie- dliśko, część pieniędzy dostała, to od jakiegoś familjanta Brzostowia-

ka coś kupiła i żyje sobie, przytuła. A ten mój brat to był taki ciulaj- ciulaj- ka. Teraz dostaje pieniądze za to, że był ranny pod Warszawo, ale przedtem ciulał z tych drobnych rzeczy. Co on mnie nadawał! Sa- Sa- mych trzewików dwa pary, całkiem nowe, i ten koc, i te powłóczkie na pierzynkie, i chyba te pierzynkie od niego przyniósł. A tych koszulów? Niech tam, że i stare, i podarte, ale i nowe były. Wszystkiego. Zna- zna- czy, że on dobry i miłosierny.

O DOMOWYCH

A inne domowe chcieli mnie wy- wy- dać wrogowi i sami wpadli w ich ręce. „Nie podnoś palca wysoko, bo sam sobie dziubniesz w oko”. Teraz najgorzej bratanek, tzn. syn bratanki mi dokucza, nie się nie wstydy, nie boi, podpalać chce. Da- Da- chówki poodłamywał, w nocy huk, huk żelazem w dach i już popęka- popęka- ło na trzy. A tamten chlewiek... To ja od głodu zdycham, a musiałem kupować, żeby dziury latać. Ale mamusia jego mówi: „Trzeba kupić cegły dobrej, a nie desków”. Dwóch takich domowych gadów jest, co mi Sodome robio. Patrzy tylko coby mi dokuczyć, a za to co gadam na nich, mówio: „Maipa był, maipa będzie, maipa zdech- zdech- nie, maipa zmartwychwstanie i znów się zrobi maipa”. Idzie ze szkoły, to tylko szturcha kolegów „A, o, patrzajta! Jest!” I już za- za- chodzą, psoco, czarty takie kop- kop- nięte. I kamieniami we mnie rzu- rzu- cali, w głowę by dał, ale jakoś nie trafił, za to psa zdechłego mnie w chlewiku powiesił. A jak koń napaskudzi, to przyniosł pod drzwi. Nie ma takiej hanby, takiej krzyw- krzyw- dy, żeby mnie nie zrobili. Ziemi mam wszystkiego dwa hektary: po- po- le, siedliśko i torfy. Chco, cobyśmy szybciej zdechł, to na nich wszyst- wszyst- ko by przeszło. Ogród warzy- warzy- ny to dobra rzecz, teraz im dzier- dzier- żawię. Warzywa z mojej ziemi, a mnie usmiercają. Jak ludzkim da- da- łem, dobrze było, a domowe — tyl- tyl- ko do reagenta. Jedź i jedź, żeby to wszystko przepisać. Przed ludź- ludź- mi się oni na mnie skarżą: „Nie słuchajta gupiego, jemu już się ka- ka- narki we łbie pieprzo. Wstaje ra- ra- no, głupstwa gada, ludzie go nie rozumieją”. Nie majo wstydu be- be- stie tak na starego stryjka gadać.

O CHOROBAH I SŁABOŚCIACH

Moje wszystkie choroby nerwowe, a oni mnie na głupiego obrócili. Doktor mi mówi, że choćby czek najmandrejszy był, a rodzina się z nim tak obchodziła, to by się albo upijał, albo chorował. Czterech chłopów niby mówiło, że ja głupi, a czterech, że głupiej, że sam leze na dach, dachówkę odłupuje, tłu- tłu- ke, a potem na dzieciaka gadam, i chodzę po sąsiadach i opletam ich.

Taka mnie ogarnia słabość, ner- ner- wowość, że się mało jada i myśli dużo. Jednego dnia to zjem mniej niż pół litra mleka, ale ono za- za- trute, bo te różne kropki i proszki biore. O, relanium, to jest świet- świet- ne, co jak się w głowie zakręci. Dobrze so, pomagają. Tylko ja nie biore takiej dozy, jak napisane na recepcie. Jak mi lepiej, to biore mniej, bo do lekarza ciężko jechać, a domowe i sąsiady też nie chco, bo tam zawsze straszne kolejki. Ta dychawica nie taka strasna, bo jest na nią lekarstwo. Na te słabo- słabo- ści nie mam. Kiedyś, jak byłem taki słaby — to jeszcze za Pilsud- Pilsud- skiego — wyleczył mnie taki nasz aptekarz, Gorbaczewski. On był jak lekarz, wszystko wiedział. Ja też umiałem na niektóre rzeczy leki przyrządzać. On mi najpierw nie wierzył, ale jak się przekonał, to mi rzekł: „Ty masz Oleś głowę”. Ale ja tylko mogłem wyleczyć, jak kto miał robaki w nosie, albo tak kostropato twarz, a sobie rękę wyleczyłem tak, że nikt nie mógł po- po- znać, która chora była.

Siedemdziesiąt cztery lata mam, to jeszcze nie jestem stary. Starsi tu są. Tylko mam jakąś taką słabość i nie mam na nią lekarstwa.

DANUTA SOBOLEWSKA
ALEKSANDER WRONISZEWSKI



W.L.: — Demokracja, której nam w tej chwili brakuje i którą trzeba niewątpliwie rozwinąć, dotyczy przede wszystkim zagadnień politycznych; egzekwowania odpowiedzialności od ludzi pełniących role publiczne. Chodzi tu zarówno o polityków, administratorów, jak i o kierowniczą kadrę gospodarki. Wszystkie wyżej wymienione typy ról publicznych mają u nas sens polityczny — ze względu na to, że gospodarka jest w sposób bezpośredni zarządzana przez państwo, a państwo, z kolei, jest pod kontrolą i wpływem ideologicznej inspiracji partii. Nie można więc traktować działalności gospodarczej jako zupełnie nie politycznej.

L.G.: — Jakże zatem uważa pan w tej chwili zadania za najważniejsze?

W.L.: — Przede wszystkim powszechne egzekwowanie odpowiedzialności. Natomiast w długofalowym rozwoju potrzebne są nam mechanizmy ujawniania konfliktu interesów i ich rozwiązywania. Do tej pory jedną z podstawowych wad całej naszej struktury politycznej była sztucznie robiona jedynomyślność, brak możliwości ujawniania rozbieżności zdań w trakcie dyskusji, przed podjęciem decyzji. W normalnie rozwijającym się społeczeństwie muszą istnieć różnice zdań. W ośrodkach kierowniczych też one występują. Ukrywanie ich i sprawianie wrażenia ogólnej jedynomyślności jest wielce szkodliwe, potęgujące niebezpieczeństwo dezintegracji. W procesie realizacji zadań następuje dezintegracja dyrektyw kierowniczych, mimo że same ośrodki kierownicze zachowują się tak, jak gdyby były zjednoczone. Warto przypomnieć w tym miejscu myśl Cypriana Kamila Norwida: mniej się kłóćmy, ale bądźmy bardziej różni.

L.G.: — Albo, ujmując te myśli dokładniej: różnijmy się pięknie.

W.L.: — Właśnie, nie chodzi o to, żeby spór zawsze miał formę gwałtowną. Tego trzeba rzeczywiście unikać. Ale ważne jest, aby różnice zdań zaznaczone były wyraźnie, a społeczeństwo rzetelnie o nich poinformowane. Niezależnie od tego,

Dr Wojciech Lamentowicz jest pracownikiem naukowym Wyższej Szkoły Nauk Społecznych przy KC PZPR w Warszawie. Autor wielu cennych prac dotyczących problemów demokracji socjalistycznej.

gdzie różnice zdań występują: w Sejmie, w rządzie czy w instancjach kierowniczych partii. Kiedy społeczeństwo zna różne opinie, uruchamia się proces powszechnego nad nimi roztrząsania, można się do pewnych zdań przyłączać, a z innymi nie zgadzać, ale w końcu wykrystalizuje się opinia większości. I ta stanie się decyzją. A być może mniejszość — za rok, dwa czy pięć będzie większością. Krótko mówiąc: mniejszość także musi mieć prawo do egzystencji i szacunku ze strony większości, bo jest potrzebna w podejmowaniu racjonalnych decyzji. Udawanie, że nie ma podziału na mniejszość i większość, jest bardzo groźne w skutkach. Powoduje kumulowanie się napięć i błędów, które w efekcie przynoszą kryzys polityczny. To właśnie jedna z przyczyn, powtarzająca się u nas niejako cyklicznie, kryzysów politycznych. Jestem głęboko przekonany, że wydarzenia ostatnich tygodni — ostre strajki i żądania polityczne z nimi związane — są jakościowo nowym momentem w naszej historii najnowszej. To nie żaden — jak mówi się potocznie — kolejny „polski miesiąc”: październik, marzec czy grudzień.

L.G.: — Bo sięga do najgłębszych struktur?

W.L.: — Właśnie tak; najgłębszych struktur. Najważniejsze, iż konflikt, w swoich podstawowych formach, został rozwiązany metodami negocjacji, bez zastosowania przemocy jakiegokolwiek ze strony w nim u-

czestniczących. Założenia ustawy o związkach zawodowych, przygotowywanej obecnie (mowa o nich zarówno w porozumieniu gdańskim, jak i szczecińskim), przewidują mediacyjne rozstrzyganie sporów, łącznie z prawem do strajku. Zakładają konflikt jako coś, co może się pojawić. Rzecz w tym, by w sposób racjonalny i kulturalny to rozstrzygać, a nie pozorować później jedynomyślność, bo takie ukrywane konflikty muszą wybuchnąć.

L.G.: — Czy zgodzi się Pan z tezą, że ciężar naprawy spada na samorządność robotniczą? Sam Pan kiedyś zauważył: „Gdy samorząd robotniczy jest autentyczny, to kadra kierownicza nie może uchylać się od społecznej odpowiedzialności [...] a jeden błąd nie rodzi nowych błędów”. Czy można już dziś powiedzieć, że samorządność robotnicza zdecydowała o przebiegu demokratyzacji w naszym kraju — a ogólniej: naprawianiu naszej polskiej rzeczywistości?

W.L.: — W wysokim stopniu wszystko zależy od tego, jakie uprawnienia zostaną przyznane samorządom robotniczym. Dalsze próby ograniczania samorządności robotniczej byłyby samobójstwem dla Polski. Osobiście jestem przekonany, że siła samorządów robotniczych powinna się przejawiać nie tylko w fabrykach i przedsiębiorstwach produkcyjnych. Mocniej powinna dawać znać o sobie także w zarządzaniu centralnym. Uważam nawet, iż samorządy robotnicze powinny uczestniczyć w tworzeniu ogólnokrajowego planu rozwoju gospodarczego.

Nie może być takich sytuacji — a tak zdarzało się nam ostatnio — że w planowaniu, zamiast wybiegać w przyszłość, cofa się w przeszłość. Nie powinno być tak, że zamiast planu pięcioletniego, posługujemy się planem kwartalnym, bo to oczywiście likwiduje zupełnie możliwości działania samorządu robotniczego. Wówczas robotnicze uczestnictwo wypiera odgórna dyrektywa. Uważam również, iż samorządy robotnicze powinny mieć swoją specjalną reprezentację polityczną na szczeblu centralnym. I to nie w formie, zwolowanej od czasu do czasu, konferencji ich aktywów, podsumowującej tylko niektóre sprawy. Myślę o pewnej stałej reprezentacji. A więc powołaniu do życia takiego zgromadzenia, którego kandydaci będą zgłaszani przez samorządy robotnicze i wybierani w wyborach powszechnych.

L.G.: — Co byśmy przez to osiągnęli?

W.L.: — Uzyskalibyśmy bezpośredni podmiotowy udział robotników w kierowaniu państwem na szczeblu centralnym. Tego typu polityczna reprezentacja wydaje mi się ważna, ponieważ dzięki niej wprowadza się w strukturę władzy państwowej robotniczy punkt widzenia, i to w sposób instytucjonalny.

Sądzę, że jedną z podstawowych sprzeczności strukturalnych socjalizmu, w jego dzisiejszym kształcie, jest sprzeczność między centralnym

planowaniem — potrzebnym socjalizmowi do zachowania swej tożsamości — a lokalną samorządnością. Żeby tę sprzeczność złagodzić, trzeba samorządność rozszerzać na sprawy ogólnokrajowe; centralne planowanie przeprowadzać tak, aby sprawniej łączyło ono lokalne, regionalne czy branżowe interesy i interesem państwa i ogółu społeczeństwa. Stąd propozycja stworzenia reprezentacji robotniczej i na szczeblu centralnym wydaje mi się ogromnie ważną. Możliwość politycznego zorganizowania robotników na tym szczeblu byłaby dalszym krokiem demokracji socjalistycznej w naszym kraju.

Reprezentanci robotników powinni podlegać stosunkowo szybkiej rotacji. Chroniłoby to ich, w jakiejś mierze, przed deformacjami czy próbami korupowania albo osłabiania przez administrację autentyzmu ich spojrzenia na sprawę społeczną. Dzięki temu przez cały czas zachowywaliby oni swą niezależność od administracji, a zamiast strajków — groźnych zawsze wtedy, gdy masy robotników ustawionych na zewnętrznej struktury władzy — mielibyśmy reprezentację robotniczą wewnątrz tej struktury, dysponującą w każdym momencie prawem protestu wobec projektów ustawodawczych rządu w sprawach o dużym znaczeniu. Mogliby oni stworzyć dogodne forum dla aktywizacji politycznej związków zawodowych oraz sa-

Fot. Bohdan Majewski

penetracja

rzadów r
własnie
mentowa
wacji po
pomysłni
L.G.: —
mieniony
czanie ru
izowanie
W.L.: —
botniczy
wałkę,
pewnego
kiedy ca
ny w in
nego, ki
autentyc
prezenta
czywiści
konieczn
kich gw
jak stra
jeżeli dz
gocjacji,
jawniane
pisze pr
wizja. V
malną p
tylmi ra
chodzi s
dać na
rzeń, na
ności m
Do tej
do czyn
serwaty
lającym
tylko w
mógł wy
nia —
czaco. F
zawierar
istocie s
gramow
dzo wia
tentyzm
niezwyk
my poli
tak ogó
tej por
mówi,
poszerz
niewiele
domo j
nanie. J
my, aby
— słysz
wach p
muszą t
że chce
co now
kretnie
ma teg
czekuje
wany p
dego i
jest dob
L.G.: —
winni w
wość i z
ku tej d
grozi oc
od spr
tować?
W.L.: —
zbyt di
leczna,
mi się
zasadni
ciaj: p
turalną
niezacy
Rys. Mie

zadów robotniczych. Kto wie, może właśnie od umiejętności eksperymentowania czy odważnych innowacji politycznych zależy szybszy i pomyslniejszy rozwój socjalizmu.

L.G.: — Czy nie grozi nam, przy nie umiarkowanych jeszcze strukturach, wypaczenie ruchu robotniczego, jego formalizowanie i zbiurokratyzowanie?

W.L.: — Kiedy obserwujemy robotniczy protest, ostrą, żywiołową walkę, można odnieść wrażenie pewnego anarchizmu. Natomiast kiedy cały ten ruch jest wbudowany w instytucje systemu politycznego, kiedy związki zawodowe są autentyczne i jest centralna reprezentacja robotników, wtedy o czywście rzadziej zachodziłaby konieczność uciekania się do takich gwałtownych form protestu, jak strajki. Stają się one zbędne, jeżeli działa prawidłowo system negocjacji, jeżeli w negocjacjach ujawnia się opinie, jeżeli o nich pisze prasa, informują radio i telewizja. W tej sytuacji mamy normalną polityczną debatę z rozmaitymi racjami, w trakcie której dochodzi się do porozumień. Jak widać na przykładzie ostatnich wydarzeń, nawet przy spiętrzeniu trudności można dojść do porozumienia.

Do tej pory zbyt często mieliśmy do czynienia z kompromisami konserwatywnymi, nikogo nie zadowalającymi do końca. Wytwarzały one tylko wzajemną nieufność: Nikt nie mógł wyrazić swego odrębnego zdania — kompromis zawierano milcząco. Przemilczano więc różnice i zawierano kompromisy będący w istocie swej jakąś ogólnikową, programową formułą, z której nie bardzo wiadomo co wynikało. Dla autentyzmu samorządności robotniczej niezwykle ważne jest, żeby programy polityczne były konkretne, a nie tak ogólnikowe i mgliste, jak do tej pory. Program, w którym się mówi, że będziemy coś umacniać, poszerzać, rozwijać, pogłębiać itd., niewiele konkretnie znaczy. Nie wiadomo jak kontrolować jego wykonanie. Jeśli więc rzeczywiście chcemy, aby robotnicy mieli realny głos — słyszalny i znaczący — w sprawach polityki kraju, to i programy muszą być konkretne, rzeczowe; nie, że chcemy rozwinąć demokrację, ale co nowego w tej dziedzinie konkretnie chcemy zrobić, zmienić. Kto ma tego dokonać, kiedy i jakich oczekujemy efektów. Tak sformułowany postulat jest jasny dla każdego i każdy może ocenić, czy on jest dobry, czy zły.

L.G.: — Dyskutować i postulować powinni wszyscy, ale jak zapewnić rzeczywistość i autentyczność na samym wierzchołku tej debaty? Czy przedstawicielom nie grozi oderwanie się od rzeczywistości, od spraw ludzi, których mają reprezentować?

W.L.: — To grozi każdemu, kto zbyt długo wypełnia jakąś rolę społeczną, związaną z władzą. Wydaje mi się, że człowiek zajmujący się zasadniczo inną sprawą (działalnością: produkcyjną, oświatową, kulturalną itd.), a w polityce uczestniczący tak, jak dobry obywatel po-

winien to robić — w mniejszym stopniu narażony jest na wyzucie się z takich wartości, jak: uczciwość, rzetelność, prawdomówność.

L.G.: — Jak zatem budować nasze instytucje, administrację, bo z tego, co Pan powiedział (i z moich obserwacji) wynika, że daleko nam do ustanowienia harmonijnego organizmu społeczno-administracyjnego działającego sprawnie i moralnie zarazem?

W.L.: — Musimy, budując nasze instytucje, zakładać, że ludzie nie są ani święci, ani genialni; są przeciętni, normalni. Mają ograniczoną wiedzę, ograniczone walory charakteru... Instytucje muszą być więc zbudowane tak, aby nawet przeciętny człowiek nie mógł swoim działaniem wywołać szkody społecznej. Muszą być one — w jakimś sensie — lepsze niż osobowości ludzi uczestniczących w sprawowaniu władzy, a nie odwrotnie. Osobowości nie mogą gwarantować sprawności działania instytucji. Przy takim założeniu nie zawieziemy się ani na instytucjach, ani na ludziach. Nawet człowiek z dobrymi kwalifikacjami moralnymi i intelektualnymi, człowiek ideowy czy sprawny organizator, w złym, zablokowanym układzie instytucjonalnym także sam zaczyna źle funkcjonować.

L.G.: — Jak jesteśmy, jako społeczeń-

stwo, sami się wychowują. Natomiast kiedy nagrody i kary pozostają niejawnie, a reguły awansu i degradacji nieprzejrzyste, trudno o wzajemne zaufanie. Bo w mętnej wodzie zwyciężają na ogół szczupaki. A więc ludzie ekspansywni i drapieżni, zachłanni i sprytni, a nie najbardziej wartościowi.

L.G.: — Czyli można powiedzieć, że jawność życia politycznego, gospodarczego sprzyja, a nie przeszkadza władzy?

W.L.: — Jawność to warunek zdrowia społecznego. Eliminuje ona takie zjawiska, jak selekcja negatywna kadr w ośrodkach kierowniczych różnych typów, występujące zawsze tam, gdzie brakuje przejrzystych kryteriów i reguł awansu. Jeżeli tego człowiek nie wie — orientuje się głównie na doraźne uzyskiwanie jak najlepszej opinii swojego przełożonego, a nie na to, żeby jak najlepiej wykonywać swoje obowiązki. W ten sposób awans opiera się nie na rzeczywistym wysiłku społecznym, tylko na grze pozorów i gabinetowych uzgodnieniach, dyktujących zasadę dobrego życia z określonymi osobami. Warto w związku z tym przytoczyć fraszkę, napisaną przez Jerzego Szulca, warszawskiego poetę-robotnika: „Bywa, że ci światli w niejednym zrzeczeniu za zbyt jasny pogląd pozostawiają w cieniu”. Gorzka to prawda.

różnić się pięknie

stwo, przygotowani do korzystania z demokracji?

W.L.: — Ludzie o konserwatywnych orientacjach powątpiewają w ogóle w możliwość rozwoju społeczeństwa, w jego dojrzałość, talenty, w jego, wreszcie, dobrą wolę. Najlepszym sposobem budowania ogólnego zaufania będzie przyjęcie zasady wzajemności i równorzędności krytyki. A więc ufam ci dlatego, że mam prawo skrytykować cię jawnie i publicznie, jeśli na to zasługujesz, ale ty mi ufasz dlatego, że masz to samo prawo i nie ograniczam ci go, ponieważ chcę zachować swoje prawo do krytyki. Zasada ta oczyszczałaby stosunki międzyludzkie z tego, co rodzi nieufność. Nie ma lepszej drogi do zaufania, jak: jawność decyzji, poglądów, nagród i kar. Myślę nie tylko o karach w rozumieniu kodeksu karnego. Ważniejsze są takie formy kar, jak napiętnowanie publiczne osób na to zasługujących czy pewnych stylów życia. Ludzie

I musimy zrobić wszystko, by jej sens stracił społeczną rację bytu.

L.G.: — Jawna, otwarta dyskusja nad wszystkimi ważniejszymi sprawami może być także czymś twórczym. Japończycy powiadają, że lepiej jest posłuchać stu przeciętnych ludzi niż jednego geniusza.

W.L.: — Zgadzam się z tym poglądem. Kiedy chcemy mieć dobre programy, musimy w społeczeństwie wytworzyć nadmiar pomysłów. Do tego potrzebne są odpowiednie warunki. Programowanie przy ograniczonej liczbie pomysłów nie sprzyja innowacjom społecznym. Dzięki zwiększonej zaś jawności (myślę tu głównie o działalności publicystycznej) powstaje społeczna bariera przed kumulowaniem się błędów. Zdarzają się one zawsze i są rzeczą naturalną. Chodzi natomiast o to, żeby jeden nie ujawniony błąd nie pociągał za sobą całego łańcucha następnych, lecz zapobiegał łańcuchowi. Z jednego błędu łatwo się

wycofać, ale gdy błędów jest już dużo, w naturalny i spokojny sposób zatrzymać lawinę się nie uda. Dlatego wycofywanie się z całego pasma błędów następuje u nas przez kryzys. W tym sensie jawność broni nas przed kryzysami politycznymi, mającymi swą wielką cenę ekonomiczną i społeczną. Jest nią stracona energia, zmarnowany zapal.

L.G.: — Kiedy mówimy już o momentach kryzysowych, przypominają mi się pańskie słowa: „Zawsze jest tak, że klasa robotnicza, postępową klasą socjalizmu, pozbawia władzy politycznej wyobeowane części swojej awangardy”.

W.L.: — Twierdzi się czasami, że ostatni kryzys miał postać konfliktu między partią a klasą robotniczą. Uważam, że jest to diagnoza nieprawdziwa. Miał miejsce konflikt, ale nie między całą partią i całą klasą robotniczą. W mojej ocenie — wystąpiły dwa rodzaje konfliktu: pomiędzy częścią aparatu partyjnego (częścią przywódców partyjnych) i częścią wielkoprzemysłowej klasy robotniczej. Ogromna większość ponad trzymilionowej partii nie popadła w konflikt z klasą robotniczą. Można stwierdzić jedynie, że to zdecydowanie mniejszościowa część, co prawda o wielkim znaczeniu dla partii, oderwała się zarówno od partii, jak i od klasy robotniczej.

Na drugą warstwę składa się konflikt między dwiema grupami samej klasy robotniczej. W roszczeniach robotniczych, formułowanych na Wybrzeżu, ujawnił się konflikt między częścią klasy robotniczej, zainteresowaną w utrzymaniu przewagi działu środków produkcji, a tą częścią klasy robotniczej, która jest zainteresowana rozwijaniem działu środków konsumpcji i dowartościowaniem tych dziedzin, które decydują o jego jakości, dobrobycie ludzi ich szansach oświatowych i kulturalnych. (Nieprzypadkowo w zawartych porozumieniach znalazło się tak wiele postulatów dotyczących służby zdrowia). Istniejące obecnie proporcje są już dłużej nie do przyjęcia. Dziś sam przemysł zużywa 80 proc. z tego, co wytworzy.

L.G.: — Obecnie narasta społeczne zrozumienie tego faktu?

W.L.: — Ostrze protestów z Wybrzeża skierowane były właśnie przeciwko takiemu wykorzystywaniu mocy przemysłowych. Polityka strukturalnej przebudowy naszego przemysłu i skierowanie jego energii na bezpośrednie zaspokajanie potrzeb ludzi jest radykalnym rozwiązaniem sprzeczności narastających w Polsce od wielu lat. Dodatkową okolicznością ostatniego konfliktu jest zaangażowanie w nim młodzieży. Trzeba wyciągnąć z tego wreszcie wnioski, że społeczeństwo polskie w trzech czwartych składa się z urodzonych po wojnie. Dzisiejsza klasa robotnicza jest młoda w sensie biologicznym i w sensie doświadczenia klasowego. Jest to zbiorowość ludzi mających aspiracje wybiegające na wiele lat do przodu. Okoliczność ta zmusza do przyjęcia bardziej wizjonerskiej perspektywy rozwoju naszego kraju. Sam zaś proces demokracji powinien sprzyjać mobilizacji tej młodej siły, zdolnej do osiągnięcia najbardziej ambitnych celów.

L.G.: — Serdecznie Panu dziękuję za rozmowę.



Dopiero podczas trzeciej wizyty niektórzy rolnicy, znajomi i nieznajomi, podchodzili do mnie na drodze i mówili o tym, o co ich wcześniej pytałem.

U podsołtysa święto. Samochodem przyjechał syn z żoną i dziećmi, wprost ze stolicy.

Przedstawiam cel mojej wizyty. We wsi Siwki istnieje konflikt pomiędzy sołtysiem Karwowskim, a rolnikiem Eugeniuszem Kurkowskim. Ciągnie się on już od dłuższego czasu, angażując — w dwóch obozach — całą wieś. Makowski odpowiada wymijająco; wyciągam, zdobyta wcześniej, dokumentację; czytam fragmenty niektórych listów i pism.

— Czy to prawda, że ostatnie wybory sołtysa zostały sfałszowane?

— Sołtys Karwowski nadał się na to stanowisko. Jest na swoim miejscu — odpowiedział tym razem szybko bez uciekania w niepotrzebne, zagmatwane dygresje.

— Pytam pana, czy wybory zostały sfałszowane? Fakt ten Kurkowski stara się udowodnić Urzędowi Wojewódzkiemu i najwyższymi władzom państwowym.

— Wybory przebiegały zgodnie z planem, a co się na ostatku zrobiło, to ja nie wiem, wyszedłem, bo, ogólnie biorąc, zrobiło mi się słabo. Sołtys Karwowski jest dobry, a zresztą jeszcze się taki nie narodził, co by wszystkim dogodził.

Słowo „dobry” przewijać się będzie niemal w każdym jego zdaniu: sołtys — wiadomo — jest dobry; Kurkowski? O nim właściwie też nie złego powiedzieć nie może, a więc też dobry. Sąsiad z lewej, sąsiad z prawej, dobrzy ludzie; mieszkający wsi — też wszyscy dobrzy. Żyje według dewizy (wpoili mu ją rodzice i życie), że nigdy nie można mówić o nikim złe, dopuścić do sprzeczki. Każdą, nawet najbardziej drażliwą sprawę potrafi załatwić ugodowo.

Na środku wsi jest staw. Dzieli on mieszkańców na dwa wrogie obozy. Siwki są zwykłą wsią; ani biedną, ani bogatą, poprzecinaną nie drewnianymi opłotowaniami siedlisk, lecz kamiennym murem. Ka-



tytowi. On obstawał za nią, a za mleczarką i za sołtysiem stał naczelnik Rydzewski. Z tego powstała taka przepychanka. Kto kogo. Przepychali się tak kilka lat. Składali mi różne pisma: do gminy w Grabowie, do władz partyjnych i wojewódzkich w Łomży, i jeszcze dalej, do Warszawy, aby przyjechali i zdjęli Karzewską. Mam powiedzieć, co o niej myślę? Znowu będzie szum, ścięcia, wyzwania. Tak zawsze we wsi jest, jak zadra za sobą gospodarze. Kilka lat rządziła

naszej krwi się z bogacił. Mamy czyn; Kurkowski do czynu nie pójdzie. A jak zebranie, to najwięcej mówi o czynie. To buntowszczyk wioski. Kto mu towarzyszy? Ma swoich poddanych.

Zofia Kurzątkowska nawet podczas rozmowy nie pozwala ręką odpoczywać. Prowadzi z mężem, synową i synem wzorowe, 35-hektarowe gospodarstwo. Dbą o wykształcenie dzieci. Szczyci się nimi.

— Ja nie mam nic na sołtysa — mówi. — Na zebrania nie chodzę,

naszej krwi. Po wojnie miał mało ziemi. Biedował. Ale dokupił hektarów, a po spaleniu się odbudował. Za co?

Karwowski opowiada dzieje ostatniej wojny sąsiedzkiej. Coś się stało do roku 1939 i czasu okupacji. Po roku 1949 grasowały tu bandy, jedna z nich zabrała staremu Karwowskiemu radio i zabiła właściciela pejczami. Bandziorów rozgromiło wojsko i milicja. Przepytujący radio, wskazywali na Karwowskiego i Siwek. Został on, „za przynależność do bandytów”, osadzony w białostockim więzieniu. Nie odzyskał ani zdrowia, ani wolności; wkrótce zmarł. Pole Karwowskich obsiewał kilkunastoletni Kazimierz, najmłodszy gospodarz w Siwkach. Dorastał wpatrzonego w poczynania krewnego Eugeniusza Kurkowskiego, nazwanego przez przedstawicieli z powiatu i województwa „Działaczem”. Gdy Kurkowski był zlewniarzem, Karwowski należał do społecznego komitetu dostawców. Nikt nie pamięta, co poróżniło ich po raz pierwszy, co doprowadziło do wojny, w której (młodszy o szesnaście lat) Karwowski począł odnosić sukcesy nad przeciwnikiem, został sołtysiem, prezesem straży i zaufanym naczelnikiem Urzędu Gminnego.

— Dotąd nas kłócił, aż skrócił — zapewnia sołtys.

Wymienia największą wadę głównego przeciwnika (pozostali się nie liczą, to zwykli poddani); pisze do różnych urzędów, sprowadza komisje i kontrolerów.

— Czy wysyła anonimy?

— Nie, zawsze się podpisuję; on i jego buntowszczyki.

— Jaki był wynik kontroli?

— Przyjeżdżali, zachodzili do mnie. Pochodzili po wsi, porozmawiali sobie z chłopami, wracali do

mojego domu, podbiłam im delegacje, częstowałam herbatą, miodem. Wyjeżdżali. Po drodze było im do Urzędu Gminnego. Dzwoniłem, że już jadą. Skarżył, że moje wybory zostały sfałszowane. A co do zlewniarki Karzewskiej — Dobra była z niej kobieta. Gdyby Kurkowski nie pisał na nią co drugi dzień skarg, pracowałaby u nas po dziś. Może tylko pod koniec nie wywiązywała się należycie ze swoich obowiązków.

ostatnia wojna

penetracje

mienie rodzą tutejsze pola obficie, szczególnie wiosną i jesienią. Wzmocniają one nie tylko fundamenty, ale także ściany chlewni, obór i domów.

Za kamiennymi szafkami toczy się wojna. Najgorsza ze wszystkich: domowa, wioskowa, rodzinna.

Wiesz do stawu (licząc od Gnato-wa) ma mniejsze gospodarstwo, przeważnie dziesięciohektarowe; za stawem mieszkają bogaci gospodarze, mający po dwadzieścia, a nawet i ponad trzydzieści hektarów.

„Bogaci” bronią sołtysa, „biedni” — Kurkowskiego. Domy i zabudowania „bogaty” i „biedny” są podobne: duże, drewniane lub murowane. „Bogaci” trzymają więcej inwentarza. Na podwórkach, pod zadaszeniem, stoją maszyny rolnicze, samochody osobowe: syrenki, fiaty.

Kielczewski brakuje powoźce. Usiłuje powstać z kłeczek. Proszę, by sobie nie przeszkadzał; z jego żoną wchodzi do pokoju stołowego. Na środku stół, konieczne sztuczne kwiaty, na ścianach obrazy o treści religijnej. Tutaj, jak w każdym poprzednim domu, na honorowym miejscu wisi wizerunek Jana Pawła II.

— Nazywam się Czesław Kielczewski. U nas we wsi walczy ze sobą dwa obozy. Sołtys, straszny działacz jest, z naczelnikiem gminy dobrze żyje; kto za nim, ten dostanie cegły, cement, narzędzia, a my musimy po prywatnych cenach kupować. Złożyliśmy podanie o rozstrutnik do obornika, dostaliśmy odmownie. Co mamy się pchać? Ile mamy czekać? I na co? Na miłosierdzie naczelnika? On popiera Karwowskiego. Tylko w niego wierzy. Poszło o zlewniarkę Karzewską (ostatni murowany dom po prawej w stronę Gnato-wa). O mleczarkę spór szedł. Złe pracowała, ku niezadowoleniu większości. Kto chciał ją zruć, to był przeciw soł-

zlewni, mówię o Karzewskiej, o-szukiwała ludzi na tłuszczu, gorszy procent wpisywała tym, co obstawali za Kurkowskim, lepszy ludziom sołtysa. Nareszcie została zrucona. I bardzo dobrze. Tylko wojna domowa trwa nadal. Teraz chodzi o zniesienie sołtysa. Karwowski odejdzie, zapanuje pokój w Siwkach, jak niegdyś, jak zawsze. Pokój sprawiedliwy. Pan pomoże zdjąć sołtysa!

Szukam Karwowskiego. W domu zastaję jego 77-letnią matkę, biegającą — dostownie — po podwórzu. Prababcia na samym początku chwali się prawnuczkami; wygląda na trzydzieści lat mniej. Ma gęste włosy, świeżą cerę i zaskakująco lekki sposób poruszania się.

— Synowa przewraca siano — informuje prababcia — a syn, o tam, oporządza ziemniaki.

Sołtys nie jest zaskoczony moją wizytą. Niczego i nikogo nie musi się bać, zapewnia.

— Może pan iść od domu do domu i pytać o mnie.

— Właśnie tak czynię. W tej części wsi mieszkają pana zwolennicy, czy możemy ich razem odwiedzić?

Odwiedzamy. Przyjaciele chwalą przyjaciela. I trzydziestoletni Mikucki, właściciel dużego gospodarstwa oraz fiata, i najlepsi gospodarze we wsi, Sokołowski i Kurzątkowski.

Sokołowski: — Kurkowski Eugeniusz był zlewniarzem długie lata. Na koniec zrućli go ze zlewni, bo zawsze nasze mleko miało najmniej tłuszcza. Jak przestał być zlewniarzem, zaczął pisać na tego oto sołtysa pisma i skargi, że niedobry. Pisał na nową zlewniarkę, Karzewską, że też niedobra, a wszystko bez to, że go zrućli. Spalił się, a mimo to odbudował gospodarstwo. Dzieci pokształcił. Za co? Na

tylko syn lub mąż. Nie ja Karwowskiego wybierałam. Jak ja podatku nie oddam, to odda go za mnie sołtys? Jak ja nie dopilnuję inwentarza i pola, to dopilnuje sołtys? Karwowski podatek zbiera. Wypełnia obowiązki. Sprawiedliwie czy niesprawiedliwie? Nie ja będę jego sędzią.

Podwórce sołtysa czystutkie, jakby nie hodował świń i krów. Schna drewna poukładane w pryzmy. Narzędzia rolnicze w dużej drewnianej szopie. Oglądam sprzęt i syrenkę. Karwowski wypuszcza konia, z dumą spogląda na jego błyszczące ślepie, rozwarłe chrapy, delikatne pęciny i smukłą sylwetkę. Koń biegnie dookoła podwórza, a gospodarz za nim — zważym truchem.

Jego mieszkanie urządzone jest z wielkomięskim smakiem; zaskakująco czyste.

Kurkowski napisał o mnie tyle pism, że gdybym je zebrał razem, nie pomieściłbym ich wszystkich na jednej furze — zaczyna sołtys. Starannie układa zdania. W okularach, z miejską ubrany, o pociągłej, suchej twarzy, w niczym nie przypomina chłopca. Mógłbyś pomyśleć: inteligent wypoczywający pod gruszą, unikający modnych kurortów.

— Czy to prawda, że pana wybory zostały sfałszowane?

— Panie! Takie coś może powiedzieć lub napisać tylko Kurkowski. Czy pan wie, kto był obecny w czasie wyborów? I naczelnik Urzędu Gminnego, Rydzewski, i sekretarz Urzędu Gminnego, Lewiński, i komendant Milicji Obywatelskiej z Grabowa. Pełnię funkcję trzecią kadencję. A czy pan wie, kto mnie wybrał za pierwszym razem? Eugeniusz Kurkowski! Dopiero jak zrućli Kurkowskiego ze zlewniarza, zaczęła się wojna. Stusnie powiedział Sokołowski: wzbogacił się na

Sołtys zarzuca Kurkowskiemu, że przez niego nie pobydowano w tej remizie strażackiej. Nie mogli uzgodnić, w którym miejscu ją postawić: tam, gdzie mieszkają „bogaci” Karwowskiego, czy tam, gdzie „biedni” Kurkowskiego.

Niech tylko przestanie pisać, a pokój zapanuje w Siwkach. Idąc do Kurkowskiego muszę przejść obok domu Kielczewskiej. Wybiega za mną na ulicę. — Niech tylko zdejmą sołtysa a pokój zapanuje w Siwkach. Już bez zlewniarki jest spokojnie.

Zawracam do zlewni mleka. Przyjmuje mnie Zygmunt Kosiński, zlewniarz. Ma lat czterdzieści, mieszka w sąsiedniej wsi, w Niecikach; jest gospodarzem. Pytam o jego pracę. Od roku — tyle tutaj pracuje — nikt nie napisał na niego ani jednej skargi.

— Przede wszystkim musi być rzetelność — mówi. — Tędyż dnia biorę próbki i konserwuję proszkiem, żeby mleko nie skwaśniało. Co piętnaście dni wypalam procent tłuszcza. To wszystko. Pilnuję pracy. Z nikim nie wchodzi w układ, nie wtajemniczam się i nie chcę należeć do żadnego obozu.

Narzeka tylko, że wozacy ostatnio przyjeżdżają po odbiór mleka tylko raz; cały dzień musi siedzieć w zlewni, a w Niecikach czeka na niego ziemia.

Stary Kurkowski przywitał się ze mną bez zdziwienia. Podszedł i długo patrzył w moją oczy. Wreszcie powiedział: — Ma pan przed sobą pieniacza! Tak panu niektórzy mnie przedstawili, nie zaprzeczaj pan.

Nie zaprzeczyłem. Zapytał, czy mam dla niego czas. Oczywiście. Czy dużo?

— Tyle, ile pan zażąda.

— To będzie pan pierwszym czło-

niał nade
upil heka
dbudowa
dzieje
j. Cofa
okupacji
tu band
remu Kar
właściwie
rozgromi
tytyni
owskiego
ynależno
w białe
zyskał an
wkrótce
i obsiew
i najmo
n. Dorast
krewne
o, nazwa
i z powi
ziałaczem
wniarzem
połączne
kt nie pa
o po ra
o do woj
szesnasto
ności suk
został so
zaufanym
nego.
skrótł —
wadę głow
ali się nie
pisze do
dzia komi
y?
pisuje: on
toli?
odzili do
porozma
wracali de
n im dele
batą, mło
rodze było
p. Dzwoni
ł, że mo
wane... A
zewskiej
— Jeta. Gd
na nia co
owalaby u
pod komi
należyce za

wiek, który wysłucha mnie od początku do końca. Kurkowski przerywał relację, przynosił z szuflady dokumenty lub ich odpisy, kopie listów. Przeczytałem wszystkie. Wszystkie odpisałem. Mój rozmówca dopilnował tego skrupulatnie, po czym powiedział, abym na łamach „Kontaktów” koniecznie je zacytował: niech nareszcie świat się dowie o nim całej prawdy.

— Byłem całe lata zlewniarzem. Obsługiwałem kilka wsi. Oto doświadczenia: „Zakład Mleczarski w Kolnie” stwierdza, że Eugeniusz Kurkowski pracował w tutejszym Zakładzie na stanowisku zlewniarza w wsi Siewki od dnia 1.IV.1954 r. do 31.VII.1973 r. 16.VII.1973 r. odbyło się zebranie wiejskie w wsi Siwki zorganizowane przez byłą Gromadzką Radę Narodową w Grabowie w sprawie oceny pracy zlewniarza. Na zebraniu tym rolnicy (ok. 20 osób) zarządził kategorycznie zmiany zlewniarza uzasadniając, że Kurkowski obsługuje ich niewłaściwie i wybrał nowego kandydata na to stanowisko. Na tej podstawie po uprzednim uzgodnieniu z władzami gromadzkimi nastąpiło rozwiązanie umowy o pracę z w/w.

Innych skarg na niewłaściwą pracę na odcinku dostawców ze zlewni Siwki nie notowano.

Komentarz Kurkowskiego: — Po kilkunastu latach sprzykrzyłem się ludziom. Domagałem się punktualnego przychodzenia i czystości mleka.

„Powiatowy Zarząd Dróg Lokalnych w Łomży upoważnia Ob. Kurkowskiego Eugeniusza do organizacji robót przy budowie drogi Siwki—Wilanowa i od Siwek do granicy pow. kolnieńskiego (...).”

„Upoważnia się Eugeniusza Kurkowskiego do organizacji dostaw kamienia na terenie Prezydium GRN Przyluty, Romany oraz zawierania umów z dostawcami.”

Komentarz Kurkowskiego: — Przez wiele lat byłem radnym i członkiem Komitetu Gromadzkiego Frontu Jedności Narodu. Otrzymałem dyplom za aktywny udział w działalności społecznej. Wybudowałem drogę do Siwek i przez Siwki. Dwudziestego września 1964 roku dokonaliśmy uroczystego otwarcia.

pracują. Sześć lat musiałem czekać na sprawiedliwość.

Wielokrotne kontrole... Krytykowałem Karzewską, bronił ją Karwowski. Tak powstał konflikt. Karwowski popierał naczelnik Rydzewski. Balują z żonami nawet w lesie przy ognisku. Czy pan uwierzy, że soltys pobił mnie na zebraniu? Publicznie?

Nie uwierzyłem. Musiałem więc pojechać do Prokuratury Rejonowej w Grajewie, gdzie odszukałem dokument: „W dniu 25 lipca 1975 r. do tut. Prokuratury wpłynęło pismo Kurkowskiego z zaświadczeniem lekarskim. Z dokumentów wynika, że 14 lipca 1975 r. w Siwkach Kurkowski został pobity przez Karwowskiego. Na skutek uderzeń przez Kazimierza Karwowskiego pokrzywdzony Eugeniusz Kurkowski doznał m.in. wylewu krwawego z obrzękiem w okolicy oczodołu prawego i nasady nosa oraz wybroczeń krwawych na ramieniu prawym”.

Dzień później w Urzędzie Wojewódzkim w Łomży przeczytałem kolejny dokument: „Biuro Organizacyjno-Prawne i Kadry po przeprowadzonym postępowaniu wyjaśniającym skargi Ob. w przedmiocie pobicia przez soltysa wsi Siwki Ob. Kazimierza Karwowskiego wyjaśnia co następuje. Zarzuty przedstawione w skardze potwierdziły się, a w szczególności fakt publicznego znieważenia Obywatela w postaci uderzenia oraz wydalenia siłą z zebrania wiejskiego przez soltysa wsi Kazimierza Karwowskiego”.

„Pieniacz” najczęściej pisał w skargach prawdę. Być może mylił się czasami w szczegółach.

Postanowiłem sprawdzić, jak pracowała Czesława Karzewska. Udałem się do Zakładu Mleczarskiego w Kolnie. Rozmawiałem z p.o. dyrektora, inż. Markiem Raimko. Były naczelnik — dyrektor Żegalski, kierownik produkcji — Borkowski, i kierownik zmianowy — Wasilewski, przebywają w areszcie za malwersacje. Czekają na rozprawę sądową.

Przejrzeliśmy wspólnie akta personalne Karzewskiej. Fragment jednego z dokumentów: „Od dłuż-

nywała swoje obowiązki niewłaściwego już czasu Karzewska wykonywała, za co była wielokrotnie karana karami porządkowymi, które nie odnosiły żadnego pozytywnego skutku (...). Otrzymała 7 upomnień i 2 nagany za niewłaściwą pracę, to jest za bardzo często występujące niedobory transportowe, niewłaściwie referowany tuszcz i litraż mleka, niewłaściwe rozliczanie się z przyjętego surowca, brak klasyfikacji surowców na kwasowość, czystość, terminowość składania list wypłat, nie przechowywanie próbek przez 48 godzin po oznaczeniu zawartości tłuszczu. Mimo wielokrotnych poleceń nie wprowadziła dla wszystkich rolników karty dostawcy, odinków z listy płac przez co uniemożliwiała kontrolę dostawców w zakresie litrażu mleka i zawartości procentu tłuszczu”.

Lista rażących uchybień byłej zlewniarki jest długa. Zapytałem zastępcę dyrektora do spraw skupu i handlu, inż. Krzysztofa Romana, czym wytłumaczyć fakt, że Karzewska utrzymywała się w zlewni przez sześć długich lat.

— Wiazało się to z pobieżnym i niedokładnym sprawdzaniem list przez naszych pracowników.

W GS-ie w Stawiskach zadałem wiceprezсовi, Jerzemu Obujkiewiczowi, tylko jedno pytanie: — Ile wynosiło manko sklepowych z Siwek, Czesławy Karzewskiej i jej córki Krystyny?

— Czesława Karzewska była sklepowa od 25 maja 1973 r. do 25 października 1975 r. Niedobór: ponad 33 tysięcy złotych. Uregulowany. Została zwolniona z pracy. Krystyna pracowała od 29 marca do 21 września 1978 r. Niedobór: 117 tysięcy 678 złotych 84 groszy. W tym samym sklepie kilka lat pracował Henryk Karzewski. Zadowoleni byli i mieszkańcy Siwek, i GS w Stawiskach.

Na moje pożegnanie z Siwkami Ignacy Banachowski, syn Ignacego, lat 30, przodujący rolnik, powiedział: — Wojnę domową spowodowała zlewniarka, popierana przez soltysa i jego ludzi. Za dużo nas oszukiwała. Karwowski popiera tylko swoich. Dla jednego jest słodki, dla innych gorzki. Mówi: „Ja tu rządzę!” Naczelnik go słucha. Odej-
FOT. GABOR LÖRINCZY

spięcia



9
KONTAKTY
21 IX 80

Jeszcze trochę, a Córka Zawadzka w Łomży zostanie przemianowana z „Zajęczkowa” na „Szeżurkowo”, bowiem szczury przewijają się tam częściej. Istnieje miejscowa teoria, że są to zwierzęta rzeczne, przybyłe prosto z Narwi — w poszukiwaniu niszy ekologicznej. Na razie bez trudu zadawalały się resztkami na śmietnikach (bo śmieci wywożone są rzadko), ale co będzie podczas ostrej zimy? Przecież (jako kanibale) nie pozagryzają się wszystkie, a wiadomo, ile i jakich potrafią pokonać przeszkód do wygodnego bytowania. Brrr!

Informatorka z łomżyńskiego PKS-u nie jest małostkowa: proponuje swoim podróżnym wszystkie popołudniowe kursy na trasie Łomża—Kolno, które umożliwiają dostanie się do Kozła, przemilczając fakt, że zabierają one tylko pasażerów posiadających bilety miesięczne. Jeszcze bardziej rozrywkowa jest informatorka z kolnieńskiego PKS-u: zamiast numeru telefonicznego własnej dyrekcji podaje pententowi aż dwa — do piekarni i szpitala. Byłby to niezły żart, gdyby nie chodziło o czyjs powrót do oddalonego o 40 kilometrów domu.

W ubiegłym roku — na skutek nieostrożności podczas prowadzenia wykopów kanalizacyjnych — zniszczono w Ciechanowcu XIX-wieczny mur, postawiony przez Annę Jabłonowską. Naczelnik obiecał w zamian wybudować nowy, lepszy i piękniejszy, lecz widocznie nie było to łatwe, bo muru nadal nie ma. Co może być lepszego od zabytku? Widocznie naczelnik zdał sobie z tego sprawę, bo zajął się inspekcją hodowli lisów jednego z naszych czytelników, któremu od nowego zainteresowania władz gminnych raz na zawsze odechce się pisać do redakcji.

W różnych zawodach są tzw. nieprzystosowani, ale nie manifestują tego faktu tak dobitnie, jak łomżyńscy pocztarze. Paczek nie roznoszą po domach, bo za ciężkie, a i zamiast telegramów okolicznościowych zostawiają awizo. Potem wszystkie pracownice poczty grzebią nerwowo w stosach paczek, a klienci próbują zdopingować szukających złośliwymi uwagami. Pocztarki początkowo się odgryzają, ale wreszcie pytają błagalnie: — Proszę pomyśleć, może pani przynajmniej przezwuwać od kogo może być przesyłka? Nawet jeśli ktoś by i przeczuł, to wobec złej woli drugiej strony prędko ugryzie się w język.

Wykonawcy pomnika Stacha Konwy w Łomży przewidzieli zapewne ze naukowcy znaczną podważyć autentyczność tej postaci, bowiem przeznaczili nań postać mało wartościową, który kruszeje i okalecza postać bohatera Kurpiów. Ciekawe, czy cement odjęty Stachowi Konwie umocnił postument mniej legendarnego bohatera?

Łomżyńscy fryzjerzy także narzekają na wzrost kosztów utrzymania, co im nie przeszkadza w podważaniu cen własnych usług: za strzyżenie męskiej głowy w Białymstoku płaci się 15 złotych, w Łomży — 30, choćby to była lysiejąca od trosk głowa dziennikarska.

alomowa

EDMUND
ŻUREK



Przemawiałem: „Mili i drodzy zaproszeni goście! Serdecznie Was witam w imieniu wioski naszej i sąsiednich. Jest mi niezmiernie miło gościć dostojnych gości, gospodarzy województwa i powiatu. Droga będzie służyć nam wszystkim, a czyn społeczny, który włożyliśmy w jej budowę, pozwoli na oszczędzenie środków finansowych i przekazanie ich na budowę innych pilnych urządzeń i zakładów”.

Usiadł, zmęczony przemówieniem. — Dokumenty mówią prawdę, chociaż niecałą. Nie powiedzą, ile pracy, ile czasu, ile staran poświęciłem dla naszej wsi. Dzisiaj mam lat siedemdziesiąt i zastanawiam się, czy mój wysiłek się opłacił. Tak mało udało mi się zrobić. Nie pozwoliłem na przeniesienie od nas szkoły. Pobudowaliśmy drogę, od tego czasu mamy pekaesowe połączenie z Łomżą. Założyliśmy straż. Ale, skłócenie nie postawiliśmy remizy.

Mówią, że za dużo piszę. Ja uważam, że za mało. Dlaczego mam milczeć o tym, co boli wieś? Kto ma nam pomóc, jak nie Urząd Gminny, Urząd Wojewódzki? Oddaję państwu mleko, mięso i zboże. Spodziewam się od państwa opieki. Wzajemnie świadczyć sobie usługi.

Sprawdzam kontrole? Jedna wystarczałaby. Ale jeśli jedna, druga i trzecia źle pracują, wtedy piszę o ich złej pracy. Odpisują na moje listy i mówią, że jestem pieniaczem.

A ja domagam się tylko, aby kontrolerzy sumiennie kontrolowali. Pewnie dużo pan słyszał o naszej zlewni Karzewskiej. Sześć lat pisałem o jej niewłaściwej pracy. Przyjeżdżali, kontrolowali i nic nie dostrzegali. Dopiero w 1979 roku musieli ją zwolnić! Była sklepowa, narobiła manka, zwolnili ją. Jej córka Krystyna też pracowała w sklepie i też miała manko; zwolnili. Pisałem, jak te panie Karzewskie

Stacha było mu szczerze żal. Bezradny i zawiedziony, nie wyjdzie tak łatwo z tej historii. Uparty i bezkrytyczny — nie mógł pojąć innej motywacji niż jego. Adam z Janką widywał się często i sprawa spotkania nie stanowiła problemu. Lecz po co? Komu miał pomóc: Stachowi czy Jance? W każdym przypadku jego interwencja nie miała sensu. Poradził się Zochy. Była zmartwiona, lecz nie zaskoczona. Nie lubiła Janki, sądziła jednak, że sprawę należy wyjaśnić dla dobra organizacji. Janka była nadal aktywna i nic nie wskazywało, że miała zamiar się wycofać.

Przy pierwszej okazji zagadnął Jankę o plany małżeńskie. Nie wypierała się. Usiedli w ciemnej niszy korytarza i próbowali mówić na temat, który dla nich w gruncie rzeczy nie istniał. Małżeństwo Janki wynikało w równym stopniu z jej powiązań rodzinnych, co z rozczarowania w stosunku do Stacha.

— Wydawało mi się, że się Kochacie.

— Tak sądziłam również. Może istotnie byłam jego pierwszą miłością. Nie lubił mojej społecznej pracy. Był zazdrosny o wszystko: o ciebie, zebrania, moje kontakty. Zazdrość jest chorobą umysłową, nie sądzisz? Dręczył mnie. Uciekłam do pierwszego z brzegu. Jurek jest mężczyzną dojrzałym, traktuje swój zawód poważnie, lecz do mnie się nie wtrąca. Nie przejmuj się. Stosunek ze Stachem upakował i mnie, i jego. Było w tym coś niedorzecznego. Może dlatego, że byłam bardziej dojrzała. Nie przysięgaliśmy wierności. O co właściwie chodzi?

— Ludzką przyjaźń.

— Nie ma to z miłością nie wspólnego. Wręcz przeciwnie. Natomiast na mnie zawsze możecie liczyć, chociażby w sensie lokalu.

— Po co ci cała ta przygoda?

— Jaka przygoda?

— Z naszą paczką?

Potrząsnęła głową. Włosy jej się rozsypały i była prawie ładna.

— To nie tak. Młodość ma swoje prawa i musi szukać odpowiedzi. Nie jestem jej pewna, tak jak i ty. Do partii nie wstąpiłeś? Ja również. Chcę mieć dom, rodzinę, to prawda; chcę jednak wiedzieć, dlaczego i po co żyć. Stach stoi na ubożu, brak mu społecznego temperamentu. Ja na ubożu stać nie umiem. Czy ty wiesz, że Irena próbowała popełnić samobójstwo? Ledwie ją odratowali. Gazem. Tak się kończy samotność.

Chciał coś powiedzieć, ale nie potrafił. Nie mógł również wrócić do poprzedniej rozmowy. Pożegnał się i jeszcze tego dnia udał się do Ireny. Była w domu, ale nikogo nie przyjmowała. Prosiła, by odwiedził ją za tydzień.

Nazajutrz, spotkawszy się z Haliną, zapytał, co sądzi o samobójstwie Ireny. Wydawała się przejęta.

— Samobójstwo to ostateczność. Albo psychoza, albo dramat bez wyjścia. Zastanów się, ile trzeba przeżyć, by odkręcić kurek od gazu?

— Nie umiem sobie tego wyobrazić.

— Naprawdę nikogo nie miała?

— Tak wygląda. Umęczyło ją niechciane dziecko, zawód miłosny, wyrzucenie z gimnazjum, brak siły woli, by stworzyć własne życie. Pech.

— Pech?

— Zdarza się.

— Ona z tego nie wyjdzie, jeżeli kogoś nie znajdzie.

— Musimy znaleźć jej pracę. W biurze, w prywatnym interesie, w redakcji, wszystko jedno.

— Ma ojca i brata.

— I co z tego? Nie potrafią jej pomóc.

— Pogadaj z nią, a ja tymczasem się rozejrzę. Mam znajomego aplikanta w sądzie. Sprytny chłopak. Może coś wykombinuje.

W kilka dni później Halina zadzwoniła, że aresztowano Antka. Prosiła, by jakiś czas się nie kontaktowali. Dać znać, gdy wszystko się wyjaśni.

Osadzenie w więzieniu Antka Bonieckiego odbiło się szerokim echem w środowiskach studenckich. Był to pierwszy tego rodzaju wypadek po przewrocie majowym. Odbły się zebrania, składano petycję. Oczywiście, organizacje prawicowe nie brały w tym udziału; przeciwnie: w Bratniaku piętnowano komunistyczną „jacejkę” jako agenturę Moskwy. Działacze socjalistyczni, Skrzyński, Obarski, Kopankiewicz, wykazali dużo serca i podjęli się

Halina rozplakała się nagle.
— To wszystko jest okropne.
— Uspokój się. Ludzie patrzą. Wytęła oczy chusteczką.
— Nie mogę się pozbiierać. Myślę, że mój brat jest komunistą, jest po prostu niezdolny. Nie mówiąc już o tym, że stwarza mi przykłą sytuację osobistą.
— Nie masz się czego wstydzić. Ludzie ideowi zawsze siedzieli.
— Gdzie? W więzieniu? On nie został zamknięty jako Polak, czy tego nie rozumiesz?
— Jest to sprawa przyszłości również Polski.

Nie odpowiedziała. Poprawiła szminkę i oświadczyła, że wychodzi. Zegnając się, powiedziała, że znalazła pracę dla Ireny. Może się zgłosić w izbie adwokackiej u mecenasza Trębakiwicza. Adam zapłacił i udał się do Ireny. Nie wyglądała źle, wyszczupiała. Wiadomość o pra-

— Wiem o tym. I dlatego mówię szczerze. Janek Nidziński będzie miał nastawienia, kontakty, ja będę figurantem. Szukajcie głupszego.
— Na egzekutywie Komitetu Warszawskiego gwarantowałem za ciebie.
— Skąd wiesz, że nie jestem trockistą?
— Jeżeli w tobie co siedzi, to swoisty nacjonalizm.
— Nie wiem, co przez to rozumiesz, lecz jestem Polakiem, dopiero później komunistą.
— Nie istnieje takie rozróżnienie.
— Istnieje.
— Odmawiasz?
— Nie. Lecz pod jednym warunkiem. Przyjmiecie mnie do partii.
— Po tym wszystkim, co mi powiedziałeś?

— Tak.
Władek się wahał.
— Jutro dam ci odpowiedź.
— Nie jesteś zależny od siebie. A ja chcę być od siebie zależny, nawet w partii. Ryzykuję świadomością. Bez złudzeń.

Władek wstał, uściśnął Adamowi dłoń i wyszedł. Po tygodniu przyszła odpowiedź, że Targowiak został przyjęty do KPP. Podczas krótkiego spotkania sekretarz KW, Jan Wróblewski, wyjaśnił, że problem konspiracji, wychowania tajemnicy, był decydujący, by manewr mógł się udać. Przynajmniej na pewien czas. Nowe zadania nie były proste, raczej kłopotliwe, zwłaszcza że zbliżała się sesja wiosenna i Adam chciał zaliczyć niezbędne minimum. W sprawie przełożenia egzaminów na sinologię udał się do dziekanatu, gdzie ponownie spotkał się z Marią Łacką.

Przyjął go w pokoju pedagogicznym i nawet zaproponowała filiżankę chińskiej herbaty. Za oknem wyklócała się w kasztanach wiosna i słońce zaglądało do nisz.

— Zajęcia, obowiązki organizacyjne i z egzaminów nic! — uśmiechnęła się Maria nie bez złośliwości.
— Studia sinologiczne zacząłem dopiero w połowie roku — bronił się Adam.

— Tym większe ciężar na tobie obowiązki.

— Obowiązki będą wzajemne, jeżeli zechcesz mi pomóc.
— Nie będę ci robić trudności, sam rozumiesz? Co słychać? Ciągłe Zocha? To prawie kazirodztwo. Miałeś zadzwonić, zająć. Wpadnij jutro wieczorem. Będę wolna.

Maria Łacka mieszkała w domach wojskowych przy alei Schucha, w dużym wygodnie urządzonej mieszkaniu, z nowoczesnymi meblami. Mąż wyjechał w delegację do Berlina. Nie spodziewała się go tak szybko. Miała sporo książek i kilka własnych prac. Siedziała nad nowym przekładem Platona. Poczęstowała go kawą i winem, które miało cierpki smak winogron i budziło niesforne myśli. Daleki i nieobecny był świat buntów i zmagania. Pochylił się i pocałował dłoń Marii. Uśmiech miała miły i ciepły.

— Jesteś zuchwały i bezczelny.
— Byłaś zawsze kobietą.
— Nie wiesz nawet, jak mi jesteś potrzebny. Uratowałeś mi życie, a może i karierę.

— Dlaczego odeszłaś?

— Zapewne dlatego. Z możliwości, które ci ofiarowałam, nie chciałam skorzystać.

— Ratowałam swoją godność.

— I dlatego cię kocham, jeżeli można tak nazwać moje macierzyńskie uczucie. Nigdy nie kochałam męża — zasłoniła się kryształem. — Szanuję go. Wyciągnął mnie z prowincji, ułatwił start, zapewnił mieszkanie, wille pod Warszawą. Jestem samodzielnym, młodym, dobrze się zapowiadającym naukowcem. Nie żywię do Janusza urazy, a mogę ci pomóc.

— Jestem rewolucjonistą.

— To znaczy?

— Liczę tylko na siebie i na to wszystko, co się stanie.

— Nic się nie stanie. Europa starzeje się i nie bardzo jest zdolna do nowych wstrząsów. Zresztą, po co?

— Między Europą i Azją jest jeszcze Rosja.

— Mówiliśmy o Dostojewskim, pamiętasz? Nic się od tamtego czasu nie zmieniło, tylko kara stała się zbrodnią. Dziwię się, że tego nie pojmujesz. Człowieka nie trzeba stawiać pod murem, by go zabić; wystarczy odebrać mu prawo do własnej refleksji. Sprawdzę, co robi służąca. Miała nam podać kolację.

WŁODZIMIERZ SOKORSKI

ZOSTAĆ SOBĄ

akcji interwencyjnej. W dużym stopniu dzięki nim Andrzej Strug wyśtosił pismo protestacyjne do prokuratora generalnego Kazimierza Rudnickiego i „Robotnik” przedrukował kilka petycji. Boniecki jednak siedział nadal, a przesłuchania objęły sporo kolegów, między innymi Władka Górskiego i Jankę Nidzińskiego. Wydarzenia te przesłoniły inne sprawy. Adam zapomniał o Irenie. Razem z Zochą organizo-

cy przyjęła wybuchami radości. Nie przeczyła swojej historii, lecz mówiła o niej lekceważąco.

— Wmówić w siebie można wszystko. Nawet własną śmierć. Nie wiesz, jakie to wszystko później jest nieestetyczne. I nikt się nie przejął. Dziecko pokochałam i więcej takiego głupstwa nie zrobię. Wracając do domu zastał na schodach Władka Górskiego.

— Muszę z tobą pogadać.



Fot. Gabor Lörczy

wali pomoc materialną i prawną dla Antka. Z Haliną spotkał się dopiero po dwóch tygodniach w kawiarni.

— Jakże masz wiadomości?

— Zadnych. Sledztwo okryło głęboką tajemnicą. Oskarżony jest o przynależność do Warszawskiego Komitetu KPP. Aresztowania miały szerszy zasięg i dlatego nie chciałam się z tobą widywać. Mam przykrości w pracy. Cała historia musiała się tak skończyć. Ojciec nie chce interweniować. Lecz Antek jest moim bratem. Ciebie nie ruszali?

— Na razie nie.

— Wiedzą, że nie chciałeś wstąpić do partii. Sądzę, że dlatego.

— Nie przesadzaj. Opierają się na plotkach i donosach. Niczego mu nie udowodnią.

— Proszę, zajądź. Usiedli. Adam przyniósł herbatę. Zaczęli rozmawiać.

— Wszystko wygląda na to, że aresztowanie Antka będzie mieć poważne konsekwencje. Mogą nawet zdelegalizować „Życie”, zwłaszcza że i ja muszę nawiewać. Należy ratować Zarząd Kół Prowincjonalnych i naszą organizację. Na razie jesteś poza wszelkim podejrzeniem. Proponujemy objęcie przez ciebie stanowiska przewodniczącego „Życia”.

— Gotowi jesteście mi zaufać?

— Nie wyglupiaj się.

— Nie jestem członkiem partii.

— O to przecież chodzi.

— Tylko? Niewielkie macie wy-

magania.
— W przeciwnieństwie do Antka, zawsze cię ceniłem.



WZORZEC

Wobec swych pacjentów Carkina zachowuje się zupełnie inaczej niż np. dentysta z przychodni rejonowej. Nie spieszy się, nie rzuca od razu do borowania czy wyluskiwania zęba z dziąsła. Przeciwnie. Pyta najpierw o rodzinę, poczęstuje nawet kawą, pogawędzi o różnościach. Dopiero potem, gdy pacjent zupełnie się odpręży, zajrzy do jamy ustnej, by odnaleźć przyczynę bólu i dać nadzieję na ukojenie. Wskazuje nawet odpowiedni akapit z opasłej książki, którym informowaliśmy, że Carkina popelnia podstawowe błędy w leczeniu. Dało to niewiele, żeby nie rzec — nic; machnęli ręką i przestali pisać. Obecnie buntują się coraz rzadziej i ze stoickim spokojem przyjmują jej pacjentów „do poprawki”.

Powiadają, że jej mosty można poznać na pierwszy rzut oka. Nadszły się nie mogą, że je spawa. Mają poważne wątpliwości, czy substancja, której używa do plombowania, nie ma właściwości trujących. — Żeby założyć na ząb koronę — mówi, uchodzący w środowisku za wysokiej klasy fachowca, dr B. — trzeba go oszlifować, by korona dokładnie przylegała do powierzchni zęba. Nie widziałem zębów oszlifowanych pod koronami w jej wykonaniu. Skutkiem najczęstszym takiej praktyki jest paradontopatia; mówiąc po prostu stan zapalny, a później wypadanie zębów. Teraz też mam pacjenta, który stracił kilka zębów. Niepoliczalna jest liczba przypadków wypełniania zęba bez podkładu izolującego. Skutki są podobne. Często jest również niedopasowanie zgrzyzu. Jednemu z adwokatów np. pod-

przenigdy. Czyż wypełnione po brzegi paczkami Hkazuje itd. pojemniki gabinetowe nie są niepodważalną miarą osiągnięć Carkiny na tym polu?

SZEPT KONKURENTÓW

Niestety, i w jej życiu nie brak zawistnych konkurentów. Kilka czy kilkanaście lat temu lekarze ze społecznych placówek służby zdrowia złożyli nawet oficjalne doniesienie do Urzędu Wojewódzkiego w Białymstoku, w którym informowali, że Carkina popelnia podstawowe błędy w leczeniu. Dało to niewiele, żeby nie rzec — nic; machnęli ręką i przestali pisać. Obecnie buntują się coraz rzadziej i ze stoickim spokojem przyjmują jej pacjentów „do poprawki”.

Powiadają, że jej mosty można poznać na pierwszy rzut oka. Nadszły się nie mogą, że je spawa. Mają poważne wątpliwości, czy substancja, której używa do plombowania, nie ma właściwości trujących.

— Żeby założyć na ząb koronę — mówi, uchodzący w środowisku za wysokiej klasy fachowca, dr B. — trzeba go oszlifować, by korona dokładnie przylegała do powierzchni zęba. Nie widziałem zębów oszlifowanych pod koronami w jej wykonaniu. Skutkiem najczęstszym takiej praktyki jest paradontopatia; mówiąc po prostu stan zapalny, a później wypadanie zębów. Teraz też mam pacjenta, który stracił kilka zębów. Niepoliczalna jest liczba przypadków wypełniania zęba bez podkładu izolującego. Skutki są podobne. Często jest również niedopasowanie zgrzyzu. Jednemu z adwokatów np. pod-

„wyleczony” przez Carkinę ząb. Pacjenta, na szczęście, uratowano.

Technik dentystyczny: — Ona przynosi zamówienie na wykonanie koronki, którą chce nakładać kilkuletniemu dziecku na zdrowy ząb, żeby zarobić. Mam za duży szacunek dla własnej pracy, żeby współpracować z kimś takim, dlatego przestałem przyjmować od niej zamówienia. Powinni dawno zabrać jej prawo wykonywania zawodu. Z drugiej strony — szkoda mi jej. Ona żyje tyle lat...

Stomatolog, pełniący jednocześnie jedną z kierowniczych funkcji w łomżyńskiej służbie zdrowia: — Kiedyś byliśmy sąsiadami. Jednego dnia ona „leczyła” ząb, a kilka dni później ja usuwałem. Z lekańskiego punktu widzenia: nie powinna praktykować od dawna.

TYGRYS W SPŁOWIAŁYM FUTERKU

W publikacji poświęconej łomżyńskiej służbie zdrowia napisałam m. in.: „Jeśli w uspołecznionych placówkach leczniczych lekarzy praktykujących ogranicza wyrażna bariera wieku, to tutaj (lecznictwo prywatne) jest nieznaną. W samym centrum Łomży przyjmuje np. prawie 100-letni lekarz i nie, nawet opinie kolegów po fachu, którzy z konieczności muszą poprawiać po nim robotę, nie są w stanie postawić tej bariery”.

Była w tym pewna nieścisłość, gdyż Carkina nie jest lekarzem, lecz tzw. technikem uprawnionym, reprezentującym zawód będący dziś reliktem przeszłości — czasów, w których bardzo potrzebowano fachowców, szkolono więc ich w iście olimpijskim tempie.

też nie tylko jego sprawa — wpadłam w słowo, gdy nabierała tchu. — Będziemy mówić o paleniu? Jakże ma pani przygotowanie zawodowe?

— Kto i co powiedział na mój temat? Proszę natychmiast podać wszystkie nazwiska! — wstała, trzasnęła drzwiami i wyszła.

LITOŚĆ A DOBRO SPOŁECZNE

W łomżyńskiej stomatologii, zajmującej od lat ostatnie miejsce w kraju, jest tyle do zrobienia, że ten przypadek umyka po prostu uwadze. W tej sytuacji łatwo było zamienić prywatny gabinet w fortecę, której zdobycia dawno zaniechał i Kierownik Wojewódzkiej Przychodni Stomatologicznej, i Sanepid, i cały szereg innych uprawnionych. Żadna z jednostek nie czuje się ani zainteresowana, ani upoważniona do jakiegokolwiek kontroli.

Symptomatyczna jest reakcja lekarzy pytanych o to, co się powinno z tym człowiekiem zrobić. Zgodnie stwierdzają, że „ze względu na dobro społeczne należałoby zabrać jej prawo do wykonywania zawodu”; sypią faktami jak z rękawa, ale kiedy przychodzi do kwestii podania ich nazwisk przy wypowiedziach, umykają: — Nie chcielibyśmy brać na sumienie losu człowieka stojącego nad grobem.

NIEZNISZCZALNA

Dlaczego ludzie nie piszą skarg? Podstawę do tego mieli m. in. rodzice dziecka, które o mało nie przejechało się na tamten świat z powodu źle leczonego zęba.

— Pani, jak on znalazł się na

NA ZEFIRA

Gabinet zapowiada z daleka wi-

umrzeć na ząb

NINA
OMELCZENKO



intervencje

doczna tabliczka. Znajduje się w centrum miasta, leżącego blisko 40 tysięcy mieszkańców. Ożywiony ruch panuje tu szczególnie w dni targowe, gdy przyjeżdżają mieszkańcy wsi. Klientów jest z kogo wybrać. Tym bardziej że i w Łomży, i w całym województwie od wielu lat dentysta jest na wagę złota. Na 10 tysięcy mieszkańców przypada tu 2,2 stomatologa, gdy średnio w kraju — ponad dwukrotnie więcej (5,6), mimo że w Łomżyńskim powinno być akurat odwrotnie, bowiem zęby „sypią się” tu ludzom w rekordowym tempie. Bodaj czy nie jedyne to w kraju województwo, w którym np. program profilaktyki fluorowej jest jeszcze ciągle w powijkach.

Carkina może już się czuć zmęczona. Było nie było, jest najstarszą mieszkanką Łomży — ma za sobą prawie wiek życia! W tym roku obchodziła 93 urodziny. Inna sprawa, że nie wygląda na swój wiek. Do dziś udziela się w środowisku: jest członkiem regionalnego towarzystwa, chlubi się m. in. osiągnięciami w zwalczaniu zmory naszego społeczeństwa — nalogowego palenia.

Palacza, jak wiadomo, każdy dentysta pozna „z pierwszego wydechu”. Wówczas, niezależnie od tego, czy ów pojękuje z bólu, czy też cierpi w milczeniu, musi najpierw wysłuchać pouczającej pogadanki na temat szkodliwości dymu z papierosa, jego wpływu na poszczególne organy. Otrzymuje także do przejrzenia plik artykułów, broszur i książek, zbieranych przez długie lata. Jeśli jest pojętny, natychmiast wyjmie paczkę tej truciźny i wrzuci do kosza, przysięgając jednocześnie, że już nigdy,

nieośla jego naturalny poziom szczęk o całe pół centymetra! Człowiek ten miał trudności z mówieniem. Widziałem też mosty — giganty: osiem zębów uwieszonych na dwu tylko filarach. Zdarzył się również przedziwny wytwór jej rąk: wyglądało to na jednolitą kluczę z tworzywa z ponacinanymi szparami, imitującymi przerwy między zębami, nalożoną bezpośrednio na szczękę. Wyjąłem ją palcami, razem z pięcioma zębami pacjenta. Pod spodem była jedna wielka rana.

Nagminne jest również, według opinii miejscowych stomatologów, amalgamatowe wypełnianie przednich zębów, które podczas uśmiechu straszą kolorem prawie czarnego metalu.

— Ostatnio znów zdejmowałem te „ozdoby” jednej z młodych kobiet — uzupełnia dr C.

W bóje ulicznej zdarzył się wypadek złamania żuchwy; bardzo wyraźny, z widocznym przesunięciem odłączonych części. „Dlaczego pan od razu nie zgłosił się do lekarza?” — denerwował się dyżurujący w pogotowiu. „Ależ byłam, kazała pluć kalikiem”.

Zetknąłem się z bardzo dramatycznym przypadkiem — mówi dr D. — nieprawidłowego wykonania korony na jeszcze nie umocnionym zębie u dziesięcioletniego chłopca. Przywieziono go do szpitala z 41-stopniową temperaturą; diagnoza: bakteryjne zatrucie organizmu, czyli sepsa. Wiadomo, że w takiej sytuacji konieczne jest ustalenie ogniska zapalnego. Stomatologa poproszono na końcu, po wykonaniu badań przez wszystkich innych specjalistów. Nikt przecież nie przypuszczał, że przyczyną jest

Przepisy dość ogólnikowo precyzują, co może robić technik uprawniony. Może, według nich, przygotować jamę ustną do protezowania. Ale co to znaczy „przygotować”? Wyleczyć ubytki, oszlifować ząb, wykonać zabieg chirurgiczny, jeśli jest taka konieczność? Interpretuje się więc je według uznania i wykonuje często zabiegi, do których uprawnien się nie posiada. W razie komplikacji zawsze jest wyjście — usunięcie zęba. Poza nieliczną grupką wtajemniczonych nikt nie jest świadom tych niuansów. Bo i skąd, skoro nie zmieniają od lat tabliczka głosi zachęcająco a jednoznacznie: „Gabinet dentystyczny i techniczny”.

Zainteresowana (choć nie wymieniona z nazwiska), po ukazaniu się artykułu, poprosiła o spotkanie. Zwykle nienagannie ubrana, elegancka, przysłała na nie w wyzywająco podniszczonym ubraniu. Intencje były czytelne: nie dość że skrzywdziłam osobę w podeszłym wieku, to jeszcze biedna! Potwierdziła ten wniosek za moment, gdy zaproponowałam kawę.

— Nie stać mnie na takie luksusy! — rzekła dobitnie.

Oczekując na rzeczową rozmowę, zapaliłem niebacznie papierosa. Reakcja była żywiołowa: — Jak pani śmie! Proszę natychmiast zgasić! Kto dał prawo zatruwać siebie, swoje otoczenie?!

— To chyba moja sprawa? — zaproponowałam, gasząc jednak papierosa.

— A jak pijak się upija i nie daje rodzinie na życie, to też tylko jego sprawa? A jak złodziej kradnie, to też jego sprawa?

— A jak morderca zabija, to

krawędzi życia, jak go tak wszyscy badali i nikt nie wiedział, co się dzieje, to myśmy tylko modlili się, żeby wyżył. Później, gdy już nieśczęsny ząb usunięto i chłopak zaczął zdrowieć, to nie wiedzieliśmy, co robić z radości. Dopiero w jakiś czas później pomysłiliśmy o podaniu lekcji do sądu. Ale gadało, że ma „plecy”, że i tak nie nie zrobimy, bo trzeba opinii innego lekarza, czyli akurat tego, który syna uratował. Nie chcieliśmy go mieszać w to wszystko i tak zostało. Czeka pani, pokażę ten ząb, do dziś go trzymamy.

— My, oczywiście, moglibyśmy powołać komisję — mówi dyrektor Wydziału Zdrowia i Opieki Społecznej Urzędu Wojewódzkiego w Łomży — ale muszą być jakieś podstawy, np. skargi ludności. Skoro jednak formalnie nikomu nie wadzi?

Po zastanowieniu: — Skontaktuje się z naszym Ministerstwem.

Ostateczna odpowiedź: — Wydział Finansowy nie ma do niej żadnych zastrzeżeń. Nie ma także silnego, który odebrałby jej prawo do prowadzenia tego gabinetu, do wykonywania zawodu. Przecież nikogo na tamten świat nie wysłała, a tylko taki fakt mógłby być podstawą decyzji.

Można by tę całą sprawę potraktować jako relikty mijającej rzeczywistości, gdyby nie ten paradoksalny wniosek: że o windowaniu poziomu opieki zdrowotnej nad żywymi — decydują tylko nieboszczycy.

(Nazwisko bohaterki zostało zmienione).
NINA OMELCZENKO
Fot. GABOR LÖRINCZY



PÓLKOZIC VII.

Któż z nas może powiedzieć, że zna Polskę? Jeżdżę sobie po kraju, zbieram obserwacje, robię notatki, spotykam dziesiątki ciekawych ludzi, ale gdybym miał scharakteryzować to wszystko nawet w kilku zdaniach, prawdopodobnie zacząłbym się jękać, belkotać lub pleść androny.

Składam to jednak na karb swoich własnych niedomogów: intelektualnych, psychicznych itd., co nie oznacza jeszcze faktu, że z podróży nie przywożę kilku spostrzeżeń bardziej ogólnej natury. Ale zupełnie trzeciorzędnych. To, co ogólne i ważne, wymaga bowiem scalającego działania umysłu. Do uzyskania trzeciorzędnych spostrzeżeń wystarczy tzw. dobre oko i zwyczajna chęć potwierdzenia faktów, z których, naturalnie, niewiele wynika.

W Bogatyni, Lesku, Jasienicy Szczecińskiej i Bartoszych, w dziesiątkach innych miejscowości, widziałem leżące w kioskach u-

pstrzone przez muchy, różne numery kwartalnika społeczno-kulturalnego „Regiony”. I co z tego wynika? Pismo nie rozchodzi się to pewne. Bez względu na region kraju, „Regiony” popularne nie są. Czy powinno się je przestać wydawać? Myślę, że nie. Znam historię, a nawet prehistorię tego pisma. Wiem, w jakiej pustce społecznej działa. I tak jest od paru lat. Leżące egzemplarze kolejnych numerów świadczą raczej o znikomym rezonansie społecznym. Mimo to nie składałbym pochopnych propozycji likwidacji tego pisma. Dlaczego?

Po pierwsze — zanadto przyzwyczailiśmy się do arbitralnych pociągnięć, nie poprzedzonych szczegółową analizą racji. Po drugie — wkładanie wszystkiego pod jeden strychulec najczęściej przynosi żałosne rezultaty. Swoją drogą, skąd w narodzie indywidualistów ten zapęd do standaryzacji? Po trzecie — „Regiony” mają jakieś zarzysy programu i określony krąg współpracowników. Po czwarte — same się jeszcze nie zachęciły do konsekwentnej realizacji deklarowanych celów. Nasze życie literackie, na które tak często narzekamy, nie jest szczególnie bujne ze względów wyluszczeniowych prawie w każdej dyskusji literackiej czy wypowiedziach co bardziej ambitnych krytyków.

Otóż „Regiony” stanowią dziwny ewenement tego życia. Deklarują się jako półoficjalny organ tzw. nurtu chłopskiego. Sam termin — wymyślony przez Henryka Berę — jest dość niefortunny. Oznacza różnorodną wiekowo, światopoglądowo i stylistycznie grupę pisarzy,

których łączy jedna, stosunkowo mało ważna dla doświadczeń pisarskich, wspólna cecha: pochodzenie społeczne. Wywodzący się ze wsi pisarze „nurtu chłopskiego” rozmaicie wykorzystywali swój rodowód. I trzeba wielkiego kuglarstwa teoretycznego, aby takie bogactwo i odmienność osobowości ułożyć w jeden kierunek artystyczny.

Zawsze podejrzewałem, że „nurt chłopski” istnieje jedynie w głowach paru krytyków literackich. Nie pora tu i nie miejsce na rozważania krytycznoliterackie. Czytelników poważnie zainteresowanych oceną literatury „nurtu chłopskiego” odsyłam do ostatniego numeru „Regionów” (pierwszego z 1980 r.), gdzie zamieszczono dwa interesujące artykuły: Andrzeja Męchwela i Włodzimierza Pawluczuka. „Na progu współczesności” Andrzeja Męchwela to pierwsza poważna analiza mitologii sukcesu i porażek „nurtu chłopskiego”. Nie sądzę, żeby zarzuty krytyka z warszawskiej „Literatury” były łatwe do odparcia. Tym większa chwała „Regionom”, że dopuściły do głosu nie tylko swoich zwolenników, ale i przeciwników czy bezstronnych obserwatorów.

Białostocki naukowiec, doc. dr hab. Włodzimierz Pawluczuk, jeden z głównych ideologów „nurtu chłopskiego”, w artykule „Ludowość wobec kryzysu cywilizacji” w zasadzie rozwija swoje poglądy, znane z książki „Żywiol i forma”. Zasluguje one na poważną polemikę.

Tymczasem w „nurcie chłopskim” — jak pisał Andrzej Męchwel — „Konstrukt wzięto za rze-

czywistość i konstrukt ten posłużył do zniesienia i zatarcia różnic historycznych między różnymi typami kultur, regionalizmu a nade wszystko historycznymi przekształceniami tych kultur”. Ale społeczeństwo nigdy nie było abstraktem, bytem rozumnym. Dlatego nie można bowiem mówić o kulturze „chłopskiej” czy „wiejskiej” w izolacji od kultury „szlacheckiej”; o inteligencji polskiej — bez wskazywania na jej szlachecki czy chłopski rodowód. Warto dodać, że termin „ziemiaństwo”, bądź co bądź łaciński odpowiednik słowa „terrigena”, pierwotnie oznaczał wszystkich mieszkańców wsi, czyli nie tylko szlachtę, ale również chłopów. W łacinie antonimem nazwy „terrigena” było słowo „alienigena”, oznaczające obcych przybyszów.

Przepliw ludzi z klasy chłopskiej do szlacheckiej wyraźnie uświadamiają nam dzieje herbu (czyt.: hipotetycznego rodu) Półkozić, jednego z najstarszych typów klejnotów polskich, wzmiankowanego już w zapiskach sądowych z roku 1382, a określanego przez Długosza jako ozdoba „Ex polonica genti”. Herb ten, przedstawiający szarą ośłą głowę, umieszczoną w czerwonym polu, służył co najmniej 50 rodom. Pieczętowali się nim Białkowscy, Białoscy, Borzęccy, Brzostkowsy, Chmielowsy, Czarnkowsy, Dłuscy, Gostyńscy, Gostyńscy, Grodawscy, Gutowsy, Hinczowie, Jedlewscy, Kurdwanowsy, Ligęzowie, Lipnicy, Machniewscy, Michałowscy, Nasilowsy, Niwińscy, Nowaczynscy i inni, których — za Paprockim — wymienię dopiero w następnym felietonie. **STRYJEK**

regiony nurtu chłopskiego

ZANIM SIĘ SKOŃCZY XX WIEK

Bardzo trudne były tegoroczne żniwa, ale przecież nie małą pociechę stanowił fakt, że tam, gdzie się dało zebrać, zboże sypało się nieźle, lepiej niż w zeszłym roku i poprzednich, kiepskich dla rolnictwa, latach.

Na rozmiękle, a często nawet podmokłe czy podtopione pola nie można było wejść z ciężkim sprzętem żniwnym. Ba, nie tylko z ciężkim, bo grzęzły również traktory, w spowolnieniu, a gdzieś tam nawet żniwiarki konne. W takich przypadkach trzeba było sięgać po kosę, którą młodszy wiekiem rolnicy nie umieli posługiwać się z takim mistrzostwem, jak ich ojcowie. Zresztą z kosą trzeba się było przeprosić również i tam, gdzie deszcze zbiły i położyły zboże tak, że żaden mechaniczny sprzęt nie uratowałby plonu. Na polach można było zobaczyć więc niemal w jednym miejscu wszystkie techniki żniwne, stosowane w ostatnich dwustu—trzystu latach.

Widok ten nasuwa jeszcze inne, ogólniejsze refleksje. Od czasów rewolucji przemysłowej ugruntowało się przekonanie, że postęp cywilizacyjny rodzi się w fabrykach, w przemyśle, w miastach, natomiast rolnictwo, wciąż uzależnione od przyrody i pogody, pozostaje jakby skansenem, a na pewno tą częścią świata cywilizacji przemysłowej, która stanowi ostoję konserwatyzmu, bo zmienia się powoli i jakby niechętnie.

Jeśli nawet pominiemy fakt, że opanowanie najprostszych umiejętności hodowli roślin warunkowało dokonanie się największej w dziejach ludzkości rewolucji, to jest przejście na życie osiadłe, będziemy musieli przyznać, że każdy postęp techniczny w rolnictwie, powodujący wzrost wydajności pracy, miał natychmiastowe konsekwencje cywilizacyjne, ponieważ umożliwiało przesunięcie części ludzi, zajmujących się produkcją żywności do innych zajęć. Półki wydajność pracy w rolnictwie była tak niska, że aby przeżyć i wyżywić swoje dzieci, każdy musiał troszczyć się o produkcję żywności, nikt nie mógł specjalizować się w rzemiośle czy poświęcić się wyłącznie jakimkolwiek innemu zawodowi. Przechodzenie na każdy kolejny wyższy etap — np. od kopienictwa do orki sprzężonej, od klasycznego rolnictwa żarowego do trójpolówki — zwalniało z przy-

temat na kilka felietonów

musu pracy w rolnictwie kolejną partię ludzi i otwierało postępowi cywilizacyjnemu nowy odcinek drogi.

Tegoroczne żniwa pozwalają nam przekonać się o wzroście wydajności osiąganym przez doskonalenie sprzętu żniwnego, od kosy do kombajna. Pamiętajmy jednak, że nie mniejszy względny postęp osiągnęto przez doskonalenie sprzętu żniwnego od sierpa drewnianego, z krzemieniami wkładkami, przez

sierpy brązowe, żelazne, półkosek i wreszcie — znaną nam — kosę.

Dotyczy to przeszłości. A co teraz? Bo przecież kryterium wydajności pracy przestaje być tak niesłychanie ważne, gdy się już liczbę pracujących w rolnictwie na świecie zmniejszało do 5 proc. ogólnej liczby; zmniejszenie z pięciu do dwóch czy nawet jednego procenta nie może mieć już zasadniczego znaczenia. Istotnie — ale tymczasem wyrosła nam w rol-

nictwie bariera wydajności gleby. Wyraża się ona w tym, że osiągnięcie przyrostu kolejnego kwintala z hektara jest coraz trudniejsze i wymaga coraz większych nakładów. Nie można nawożenia mineralnego zwiększać w nieskończoność: po przekroczeniu dawki optymalnej następuje nie wzrost, ale spadek plonu; podobne granice mają inne metody zwiększania wydajności gleby. Czy więc bariera wydajności okaże się nieprzekraczalną?

Zdaję sobie sprawę, że stawianie takiego pytania w kraju, który jeszcze nie spżył swoich rezerw wydajności pracy w rolnictwie (bo zatrudnia ono u nas nie kilka, lecz kilkadziesiąt procent ogółu), jest łapaniem ryb przed niewodem. Ale pozwólmy sobie na trochę futurologii.

Wśród nieobowiązkujących prognoz największym wzięciem cieszy się ta, która twierdzi, że stopniowo zanikać będą różnice między rolnictwem a przemysłem, że produkcja żywności powoli będzie schodzić do fabryk — żywności zrazu półsyntetycznej, a potem syntetycznej. Wtedy, oczywiście, wydajność gleby w ogóle przestanie być problemem. Mnie ta prognoza nie satysfakcjonuje. Zgadza się, że produkcja żywności syntetycznej znajdzie się w granicach naszych możliwości w stosunkowo nieodległej perspektywie i że takie rozwiązanie nosi cechy zarówno najprostszego, jak radykalnego. Nie sądzę jednak, aby odpowiadało ono ludzkości, ponieważ wiąże się z dalszą, i to skrajną, denaturacją naszego życia, przeciwko której już dzisiaj zaczynamy protestować coraz energiczniej.

Warto zauważyć, że dotychczas forsujemy wydajność gleby gwałtownie — to znaczy chemizując (co się zresztą wiąże z poważnymi niebezpieczeństwami); a więc na coś, co się dokonuje w sferze biologii, oddziałujemy środkami pozabiologicznymi, obcymi, a nawet antagonistycznymi. Mam nadzieję, że rozwój biologii, która staje się obecnie najbardziej dynamiczną dziedziną wiedzy współczesnej (tak dynamiczną, że mówi się o „rewolucji biologicznej”), pozwoli na usunięcie tej dysharmonii i na osiągnięcie wzrostu wydajności gleby metodami czysto biologicznymi.

ZBIGNIEW SIEDLECKI



Niedaleko zbiegu ulic Świerczewskiego i Armii Czerwonej w Łomży stoi nieduży, szary budynek. Chyba niewielu przechodniów zwraca na niego uwagę. Przejedźnych nie przyciąga interesująca architektura, miejscowi przyzwyczajali się. Nie wyrwają ich ze snu troche niesamowite, spazmatyczne okrzyki. Kiedyś było gorzej. Dzieci są bezwzględne. Nie tolerują odmienności, uposiedzenia. Strzelają z procy, wykrzykiwały obraźliwe słowa.

W Państwowym Domu Pomocy Społecznej dla Dzieci, przebywają dzieci bezbronne wobec życia. Często nie potrafią mówić, reagować na słowa. Nie zgłaszają potrzeb fizjologicznych. A mimo to przecież pragną miłości, której odmawiają im dorośli. Są dla nich ciężarem, niespełnioną nadzieją. Chyba niewielu rodziców liczy na cud. Oddają dziecko po to, żeby go nie wi-

teraz, gdy są w centrum, wychodzą nawet poza bramę. Dyrektor Zdzisław Skowroński ryzykuje. Jeżeli któraś z nich wpadnie pod samochód, on siądzie na ławie oskarżonych. Ale ryzyko to jest konieczne.

Właściwie istnieje jedno rozsądne rozwiązanie: na peryferiach miasta postawić budynek gospodarze, założyć sad, pobudować szklarnie. Potem można byłoby wojować o Dom Opieki Społecznej. W planie perspektywicznym na przyszłą pięciolatkę widnieje wzmianka o budowie zakładu koedukacyjnego. Gdyby ją przyspieszyć! Przez czternaście lat dyktowania Zdzisław Skowroński dokonywał wielkiej ewilibrystyki między różnymi odpowiedzialnymi czynnikami i — jak do tej pory — niczego nie wychodził. A przecież to co proponuje, jest w pełni uzasadnione. Praca, szczególnie w przypadku dzieci uposiedzonych, jest jedną z najważniejszych

troska

dzieci, może zapomnieć. Zakład specjalnej troski nie zastąpi domu. Dla wielu dzieci jednak nim jest, musi być. Uczą się tutaj wszystkiego: pierwszego, nieporadnego słowa, uśmiechu, często pierwszego ludzkiego odruchu, tolerowania siebie i opiekunów, przyjaźni, poczucia własnej wartości.

Nie rzuca się już w nie kamieniami, nie pokazuje palcem, ale przecież w dalszym ciągu są ciężarem dla miasta, tak jak miasto jest ciężarem dla nich. Nie powinny przebywać tu, przy zbiegu ruchliwych ulic, w ciasnocie kilkunastu miniaturowych sal. Najlepiej byłoby przenieść je na peryferie, gdzie i więcej zieleni, i spokojnie. Przeprowadzka za miasto jest w zasadzie niemożliwa. Znalazłaby się wprawdzie jakaś opuszczona szkoła, ale najważniejsze jest przecież zaplecze — kuchnia, pralnia itp. Skąd je tam wziąć? A gdyby nawet, to i tak nie znajdzie się personelu. Kto świadomie zechce zagrzebać się na wsi? Bez mieszkani. A poza tym nie można izolować dziewcząt od ludzi.

Własne gospodarstwo umożliwiłoby — poza zaopatrzeniem zakładu, a może nawet Służby Zdrowia w świeże owoce, zieleninę, kwiaty — uczenie ich praktycznych umiejętności.

Na razie w budynku przewidzianym na osiemdziesięciu dzieci gnieźdzą się sto trzy dziewczęta. Wszystkie próby zmiany czegośkolwiek spełniają na niczym. W dalszym ciągu w sali dziennego pobytu zamontowane są tapczany. Na noc rozkłada się je, ściela i układa dziewięć osób. Pokój dla rodziców i wychowawców wykorzystywany jest na sypialnię i salę do zajęć ortofonicznych. Jedynym miejscem, gdzie można się przejść, usiąść, popatrzeć w niebo, jest mały, wciśnięty między budynek a ogrodzenie, betonowy plac. Tylko przez uchyloną bramę można zobaczyć jadące samochody, ciągle spieszących się gdzieś ludzi.

ALEKSANDER WRONISZEWSKI

sport

Ambicją działaczy zambrowskiej „Olimpii” jest przynajmniej dorównanie łomżyńskiemu LKS-owi, klubowi z wojewódzkiego miasta. W przeszłości atmosfera towarzysząca meczom piłkarskim obu klubów była bardzo gorąca. Na rozgrywki do sąsiadów jeżdżono tyłu kibiców, ilu zdolały przywieźć kursujące między tymi miastami autobusy PKS-u i samochody różnych instytucji. Co więksi zapaleni dosiadali rowerów, bo cóż znaczy dla kibica trzydzieści kilometrów! Do tradycji należały potyczki między kibicami, i to nie tylko na słowa. Gościnni gospodarze — w myśl staropolskiej zasady: „Czym chata bogata, tym rada” — na pożegnanie tłukli szyby i przebijali opony w samochodach, które przywoziły gości. Kibice wracali do Łomży bogatsi o liczne sińce i guzy, chowając w sercach myśl o przyszłych rewanżach; sędziowie — z wiązkami pokrzyw i epitetów, rzucanych z trybun pod ich adresem. Piłkarzom zaś na każdym meczu nadawano nowe przydomki; na ich wymienienie zabrakłoby miejsca w tygodniku.

„Święta wojna” odbywała się zawsze, niezależnie od charakteru spotkań. Walczyło się na meczach mistrzowskich, pucharowych i sparingowych. Od rzewnych wspomnień aż iza się w oku kręci. Kres tradycji położyły dopiero łomżyńsko-zambrowskie małżeństwa, które zawierali piłkarze.

W ostatnich kilkunastu latach mecze nie budziły już takiego zainteresowania i nie rozpalaly namietności. Odbywały się przy pustawych trybunach, bowiem kondycja piłkarzy obu drużyn osłabła, a okazji do konfrontacji (z różnych przyczyn) było mało.

Obecnie kibice mają nadzieję, że stare tradycje ożyją, bo „Olimpia” i LKS będą występowały w tej samej klasie rozgrywkowej. Rywalizacja zapowiada się ciekawie, ponieważ ambicją obu drużyn jest awans do ligi międzywojewódzkiej.

Ale zdaje się, że pogodzi je w tym roku ktoś trzeci.

W sekcji piłki nożnej „Olimpii” trenuje osiemdziesięciu trzech zawodników, szkolonych przez trzech instruktorów i jednego trenera drugiej klasy. Do rozgrywek zgłoszono po jednej drużynie seniorów i trampkarzy oraz dwie drużyny juniorów.

Działacze starają się nie robić problemów z małych spraw. Z niecierpliwością wyczekują na wykończenie budynku na nowym stadionie. Mają nadzieję, że otrzymają tam jakieś przyzwoite lokum dla klubu, co zlikwiduje trudności treningowe. Piłkarze na razie muszą się rozbiierać w — odległych o kilka kilometrów — Zakładach Przemysłu Bawełnianego. Jeśli przed treningiem pokonanie tej trasy można nazwać rozgrzewką, to po treningu — droga przez mękę.

Same treningi bywają czasem urozmaicane wpadaniem piłki do sąsiadującego ze stadionem — „zalewu” i koniecznością płynięcia po nią. Przyjemność to wątpliwa, ponieważ „zalew” zbiera ścieki z okolicznych zakładów i osiedla mieszkaniowego. Może na jesieni,

kiedy woda będzie nie tylko brudna, ale i zimna, uda się działaczom wyprosić od zarządu klubu jakąś łódkę.

Czterem drużynom na dwóch płytach stadionu — głównej i bocznej — jest trochę za ciasno. Zresztą i boisko treningowe mogłoby być większe, ale nie jest, bo ktoś zdecydował (myśląc perspektywicznie o „świętych wojnach”), że na stadionie musi być parking mieszczący kilkadziesiąt autobusów. Urodę stadionu podkreśla asfaltowa alejka, którą zrobiono chyba po to, aby mogłyby się tam ścigać na rowerkach dzieciaki, bo innego przeznaczenia trudno się domyśleć.

Działacze — zapytani o największe ostatnie sukcesy — na pierwszym miejscu wymieniają nie osiągnięcia sportowe, ale organizacyjne. Dlaczego? Bo klub nie odczuwa większych trudności finansowych. Współpraca z instytucjami układa się dobrze. Jest to zasługa władz politycznych i gospodarczych miasta. W zamian za świadczoną pomoc klub organizuje instytucjom różne imprezy sportowe i umożliwia korzystanie z własnego sprzętu. Wśród patronów klubu wymienia

NA PIĘCIOLINII

człowiek-orkiestra

Czesław Niemen — po kilku latach nieobecności — znowu wlewa się na łamy prasy, i to nie z byle jakiego powodu. Niedługo niechętnie udzielał wywiadów, zniechęcony widocznie nieżyczliwością krytyki; dzisiaj nawet „Kobieta i Życie” publikuje rozmowę z idolem, który zresztą tym idolem być nie chce i za takiego się nie uważa. Jest to postawa godna podziwu, bowiem fakt zostania gwiazdą jest faktem obiektywnym, bez względu na to, co o całej sprawie myśli sam zainteresowany. Wyjaśnienia Niemeni są więc równie banalne, jak płyta „Post Scriptum”, wydana z okazji targów płytowych MIDEW w Cannes, gdzie muzyk reprezentował nasz kraj. Płyta jest fatalna, koncerty idola przyjęte zostały przez schow-bussiness chłodno, więc Niemen ma czkawkę i ta czkawka odbija się echem w wywiadach prasowych.

Jestem zwolennikiem Niemenowej muzyki, a raczej nim byłem do momentu, w którym ten człowiek uwierzył, iż jest w swojej twórczości bliższy Pendereckiemu niż np. Maryli Rodowicz, bo to jest błąd niewybaczalny. Co bowiem zrobił człowiek? Jak na dzisiejsze czasy — nie takiego: kupił baterię elektronicznych instrumentów klawiszowych, wygonił kolegów-muzyków z zespołu i zabrał się w człowieka-orkiestrę. Sam na kilkunastośladowym magnetofonie nakłada różne dźwięki, sam komponuje, śpiewa, pisze teksty, korzystając jedynie sporadycznie z pomocy Brzechwy, Iwaszkiewicza, Norwida. Jego rozbijająca odpowiedź, w której poleca umieszczenie w przyszłej encyklopedii, przy haśle „Niemen”, odsyłacza: „patrz — Norwid”, obiegła już kraj, a może i kulę ziemską.

Człowiek-orkiestra to rzecz możliwa, ale w kinie, i to w komedii. Niewiele bowiem wybitnych instrumentalistów na świecie ma odwagę samemu nagrać krążek, umie-

szczając w dodatku na nim własny głos i własne wiersze. Niemen taką odwagę posiada. Ujawnia ją przecież w wypowiedziach. W wywiadzie udzielonym dziennikarce „Kobiety i Życie” wystąpił jako człowiek-myśliciel. Powiedział: „Uśmiechać się do wszystkiego na świecie, bo wszystko jest takie piękne, logiczne. Ale jednocześnie widzę, jak bardzo urodziła światu klóci się z tym wszystkim, co rozumiemy pod słowem braku humanizmu wśród ludzi (...) Dysponans, o którym mówiłem, jest moim źródłem mojej melancholii, tego, że nie umiem często ulegać radości”.

Płyta „Post Scriptum” i ostatnie wywiady Niemeni są może rzeczywiście post scriptum do tego, co idol robił przez wszystkie lata, ale trudno mu będzie tłumaczyć się brakiem życzliwości i kompetencji ze strony krytyków i odbiorców. Kiedyś krytykowano go za strój i nieskoordynowany wrzask, dzisiaj za banal: muzyczny, myślowy, filozoficzny.

Publicyści muzyczni od dwóch bodaj lat zastanawiają się nad fenomenem entuzjastycznego odbioru młodych zespołów, grających muzykę rockową, takich chociażby, jak białoostocka „Kasa chorych”. A mnie się wydaje, że współczesny odbiór — po prostu ma dosyć wciskanych brzmień skomplikowanych syntezatorów dźwięku, mętnych, pseudo-filozoficznych tekstów, superintelektualnych uzasadnień tego, co jest — w mniemaniu twórcy — owym szukaniem siebie w nowoczesności. Oczywiście, nowości się zdarzają, ale nie mają one nic wspólnego z dzisiejszym Niemenem, który chce być kumplem Pendereckiego. Jeden z krytyków, oceniając płytę i dzień dzisiejszy idola, napisał, iż należy to potraktować raczej jako swoisty wypadek przy pracy niż jako nową koncepcję i wizję twórczą. Święta racja.

JAN JANUSZK

wiązanka z pokrzyw



atmosfera jest nerwowa.

Za sytuację w siatkówce działacze obarczają odpowiedzialnością Wojewódzka Federację Sportu w Łomży; twierdzą, że ciągle dużo mówią, planują, a w rezultacie nic nie wie. Do klubu nie docierają żadne komunikaty z WFS-u, nie organizuje się żadnych narad, szkoleń, itp. Jakby na ironię — o zambrowskich siatkarzach bardziej pamiętają Federację z sąsiednich województw.

Podobne zastrzeżenia mają trenerzy i działacze z innych sekcji. W Zambrowie utarła się opinia, że „Olimpia” jest przysłówowym piątym kołem u wozu dla łomżyńskich władz sportowych. Taką opinię wyraził już także w imieniu łomżyńskich władz sportowych. Czy znajdzie wśród nich chociaż jedno, którego ambicja sportowe takim kołem nie są?

WYMIATAĆ

Piątek 19 września 1980 r.

Sobota 20 września 1980

18.00. „Stereo i w kolorze”.

21.50. Festiwal Folkloru.

[REDACTED]

kieratem i narzędziami barwnymi. 2)

księgowego w Dzielnicy
